Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z NASZYCH ŚWIATÓW.

Skreślił

Władysław Spausta.

I.

Dąbrowy i osady naddniestrzańskie.

Ciepły i pogodny dzień czerwcowy miał się ku schyłkowi. Była to właśnie chwila, w której, jak poeta mówi, „pół słońca pałało na niebios sklepieniu, a pół zagasło w polskich puszcz błękicie“. Brzegiem Dniestru wracałem spiesznie na noc do domu z owych ciekawych dąbrów, rozsiadłych tu i owdzie kilkuset-morgowemi kępami nad brzegami średniego biegu tej rzeki, w wschodniej części dzisiejszego powiatu Rudeckiego. Powiadam „ciekawych“, bo zasługują na ten przymiotnik w całej pełni. Poprzerzynane pastwiskami i łąkami, pozostały te kępy lasów jako świadkowie innej przeszłości, kryjące w wnętrzu swem szczątki olbrzymów, których korony kołysały się może jeszcze w dymie ofiarnych ogni pogańskich Chrobatów. Od czasu do czasu powtarzające się wylewy namulistego w tem miejscu Dniestru, wytwarzają wyjątkowe pojawy w okolicznej przyrodzie. Samo koryto rzeki, wijącej się w najdziwaczniejszych serpentynach w terenie gliniastym, jest głębokie, o brzegach bądź urwistych, bądź namulistych, i zmienia się prawie bezustannie. To też obok dzisiejszego koryta spostrzegać się dają kapryśnie pokrzywione koryta stare, w których stojąca woda charakterystyczną swą florę i faunę wytwarza, jeżeli nie wyschnie zupełnie w skutek braku wylewu.

Okoliczny teren przedstawia prawie zupełnie poziomą powierzchnię, która nad samemi brzegami cokolwiek się wznosi, a to w skutek osadzania się ciężkiego mułu na samym brzegu podczas wylewów.

Takiemi są siedliska lasów, o których mówię.

Jeżeli lasy te swą oryginalnością muszą budzić ciekawość, to niemniej ciekawemi są one dla myśliwego. Część drzewostanów sterczy z ziemi korzeniami w najdziwaczniejszych kształtach, inne, w miejscach, gdzie ławice namułu okryły szyje korzeniowe, wyglądają chorobliwie, reszta zaś tętni najwybujalszem życiem i siłą. Co krok. można tu zdybać okazy, nadające się do rozmaitego rodzaju studyów fizyologicznych, przemawiające wyraźnie o znaczeniu życiowem pewnych części organizmu roślinnego. Największy wróg kwiatu dębowego, późny przymrozek, rzadko kiedy wyrządza

tu szkody. bo z jednej strony organizm drzew dobrze odżywianych obdarzony jest wielką odpornością, z drugiej zaś odpary mgliste z wód, o tej porze zwykle obfitych, niedopuszczają zgubnego działania mrozu na kwiat. Co roku zatem prawie potrząsają dąbrowy te żołędzią i co roku prawie powtarza się złoty wiek Hezioda dla rozmaitych konsumentów lasowych.

Stare koryta, rozrzucone po całej powierzchni, kryją również w swojem wnętrzu najrozmaitszy żer, a wegetacya nadbrzeżnych krzewów i ziół wykazuje czasem zabłąkane egzemplarze, których gałązki lub nasiona tylko woda w tych miejscach osadzić mogła. I tak, spotykałem tutaj wiele zagranicznych gatunków wierzb, a mianowicie wierzbę płaczącą *(Salix babilonica)*, wierzbę Napoleona *(Salix euphratica)* i t. p. tu i owdzie u nas po ogrodach hodowane.

Jest prawdą niezawodną, iż w czasach, kiedy szmat tej ziemi był prawie puszczą leśną, kiedy i góry okryte były niebotycznemi lasami, kiedy w dziewiczych tych lasach, na grubej warstwie pruchnicy leśnej, mchy rozmaitego rodzaju pokrywały ziemię, wylewy wód musiały być rzadsze, co więcej fenomenalne. Masy opadów atmosferycznych nie wypełniały odrazu koryta i zlewiska, lecz część tychże zawisała na konarach drzew, część na wegetacyi ziemnej, wielką część wstrzymywała gąbczasta masa pruchnicy, a mała resztka dostawała się bezpośrednio po powierzchni ziemi do koryt rzek i potoków. Podniebie niezawodnie było wilgocią więcej niż dziś przesycone, bo masa opadów napowrót w parę się obracała, jednak o tyle nieprawdopodobniejsze były raptowne wylewy, jakiemi się odznacza za naszych czasów prawie każda górska rzeka.

Wcale inne zatem były warunki kosmiczne w owych czasach, gdy osady ludzkie nad brzegami powstawały, a że trwają one do dziś dnia, to przyczyny tego szukać należy we wrodzonym konserwatyzmie chłopa, w przywiązywaniu się do miejsca.

Miałem na myśli o czem innem pisać, a tymczassm zabrnąłem po uszy w dąbrowach naddniestrzańskich i pomiędzy sadybami ich najbliższych sąsiadów. Wybaczy mi jednak czytelnik, bo i mnie natura tam ciągnie, a jeszcze kilka słów posłuży do wyjaśnienia stosunków obecnych, niezbyt przychylnych myśliwstwu tej okolicy.

Uregulowany stosunkami kosmicznemi do pewnego stopnia stan wód w dawnej przeszłości, umożebnił jakie takie istnienie człowiekowi nad brzegiem mieszkającemu, bo mimo to, iż od czasu do czasu wody wzbierały, wylewy te jednak nie pociągały za sobą tak złowrogich skutków jak obecnie. Najprzód wezbrane wody nie miały już czego uszkadzać, bo niskie nadbrzeżne okolice były zawsze do pewnego stopnia zabagnione, powtóre, mieszkańcy nadbrzeźni owych czasów nie przykładali wielkiej wagi do kultury ziemi i w ogóle do jej pożytków, szukając w myśliwstwie i rybołowstwie środków egzystencyi.

Tak było przed wiekami, tak jest i dziś u ludów, znajdujących się w kolebce. Jak długo człowiek znajduje możność bytu przy łowiectwie i rybactwie, tak długo trwa w swej dzikości; dopiero głód i potrzeba zmuszają go do pracy około roli. Wstręt do pracy jest naturalnym; dopiero kultura wytwarza pracę i zapobiegliwość. Człowiek w naturze omija zatem wszelkie wysilenia o ile może, a przemyśliwa nad sposobami innemi, aby módz istnieć. Właściwość ta tkwi głęboko w naturze człowieka, tkwi jeszcze i wtenczas, gdy naród wyszedł już ze swego dzieciństwa i gdy już dotknęła go choć połowiczna kultura.

Pierwotnemu łowcy i rybakowi zdaje się, że cały świat należy do niego, naturalnie świat według jego pojęcia, t. j. jak daleko sięga broń jego, spryt i przemysłowość w zabezpieczeniu sobie panowania nad wszystkiem, co go otacza. Mimo, iż czasy się zmieniają, mimo, iż inne prawa zawładnęły resztą społeczeństwa, dla niego są zawsze zamąconemi pojęcia, ograniczające prawa jednostki na rzecz ogółu, praw własności nie chce uznawać i pędzi dalej starym trybem życie, które coraz jaskrawiej odbija swą oryginalnością na tle cywilizującego się społeczeństwa.

Gdy wylewy wód stały się nagłemi i peryodycznemi, a pośród tychże wypadały długie okresy nadzwyczaj niskiego stanu wód, zmienił się i charakter nadbrzeżnych okolic. Wprawdzie przybyło ziemi do czasowego użytku, zeszczuplał jednak teren dla łowcy i rybaka. Powstał zatem najdziwaczniejszy na świecie proletaryat, w jednej osobie niby rolnik bez pewnej ziemi, i niby łowiec i rybak bez wód rybnych i lasów zwierzynnych.

Czasowo użytkowana ziemia daje niezasłużone pożytki, inną razą stanowi dno istnego morza słodkiej wody, na którem oczywiście całoroczny pożytek przepada. Mieszkaniec jednak znajduje naówczas częściowe odszkodowanie, bo wylew wód sprowadza nieprzeliczone roje ptactwa wodnego, na którem może zaspokoić tradycyjną swą żyłkę łowiecką, a w wodach wylanych prawdziwie rabusiowskie wykonuje rybołowstwo. Jaki wobec takich stosunków może być zwierzostan okolicznych lasów? Odpowiedź zdaje się być zbyteczną.

Czego nie wyniszczą raptowne i nieprzewidziane wylewy, tego dokona z dziada pradziada kłusownik swym sprytem, manifestującym się w najrozmaitszych sposobach łowienia i swą kocią cierpliwością. Gdyby nie te dwa wrogie dla zwierzyny żywioły, lasy nadbrzeżne byłyby prawdziwemi matecznikami wszelkiej zwierzyny, posiadając tyle warunków ku temu w przyrodzie samej. Obecnie kryje się w nich zwierzyna tylko czasowo, i to właśnie w porze, kiedy wyniszczenie jest najłatwiejsze.

* * *

Czas jednak wrócić już do rozpoczętego opowiadania.

W roku tym „Jupiter pluvius“ poskąpił swych darów, które zawsze prawie o tej porze zwykł był rozdzielać, to też woda na Dniestrze była nadzwyczajnie mała. Rybacy nadbrzeżnych osad wyruszyli gromadnie na połów ryb, i w kilku miejscach spotykałem całe towarzystwa, zajęte wyławianiem rozmaitych darów bożych z wody, ku czemu dopomagały nawet małe dzieci w stroju adamowym, ciskając grudami gliny do wody, celem wpędzenia ryb w nastawione sieci. Były to grupy, godne figurować jako ilustracye epoki krzemiennej. Żadna drobnostka nie zdradza tu wieku, w którym żyjemy; wszystko, ludzie, odzież, przyrządy rybackie, sposoby porozumiewania się, jednem słowem całość jest taką, jaką być mogła w owych zamierzchłych czasach, o których historya nic nam nie umie powiedzieć, i tylko grobowce ślad jakiś znaczą.

Przypatrywałem się z upodobaniem naiwnym tym grupom. Mrok już zapadał, trzody z nadbrzeżnych pastwisk dalekim odzywały się rykiem, wracając do domu, od czasu do czasu słychać było nawoływania rybaków, krom tego panowała cisza w naturze. Oczom natomiast przedstawiał się niezwykły widok. Całe powietrze nad wodą i brzegami roiło się od myriadów latających jętek *(Ephemera vulgata)*, ba, cała nawet powierzchnia wody i brzegi okryte były bądź trupami tych owadów, bądź skórkami zrzuconemi z tychże, które łu-

dząco podobnie wyglądają do gotowych owadów, ponieważ zrzucanie skóry dotyczy nawet i skrzydeł. Rojny lot tego rodzaju, do którego przyłączają się i inne pokrewne, jak odródka długoogonna *(Palingenia longicaudata)* lub odródka białoskrzydła *(Palingenia horaria)* trwa o tej porze dni kilka. Podczas takiego lotu nad wodami, niezliczona ilość tych owadów wpada do wody, wlatuje do uszu i do ust się ciśnie. Jestto w życiu tych żyjątek jeden dzień wesołego igrania, wesołego lotu, w którym gotowy owad składa jaja do wody płynącej, powierzając temu ruchliwemu żywiołowi wydawanie przyszłych pokoleń.

Gotowy pokarm, wabiący ryby na powierzchnię wody, stał się przyczyną tak licznego pojawienia się rybaków. Połów wykonują o tej porze bądź włokami bądź tak zw. piłkami albo chmarami. Ostatnie są to sieci około 4° kwadratowych powierzchni mające, używany przez nich w sposób odwieczny, przekazany tradycyą, ale niemniej zmyślny i dowcipny. Wyrabiają je po większej części sami rybacy, a sposób wykonania tychże jest zupełnie podobny do sieci, odnalezionych w szlamie osad jeziornych w Szwajcaryi.

W pogadance z rybakami mijał czas i nie spostrzegłem, iż prawie zupełny mrok już zapadł, a tylko zwierciadło wody jaśniało odbiciem białego jeszcze zenitu nieba. Nagle od strony lasu, przez który Dniestr w najdziwaczniejszych zwojach przepływa, nadbiegł półnagi wyrostek z oznajmieniem, iż kilka sumów niezwykle wielkich pływa po powierzchni wody „pod Kobenów sadem, na wielkim Ługu“. To mówiąc, zadyszany prędkim biegiem, podniósł, stojąc na jednej nodze, drugą nogę, i wydobywał w mroku kolce bodiaka, które mu podczas biegu pozałaziły.

II.

Przy świetle gwiazd.

Jak już wspomniałem, brzegi, a raczej teren nadbrzeżny rzeki jest w tych miejscach o wiele wyższy; okoliczność tę wyzyskano już w dawnych czasach przez założenie sadów wąskim pasmem wzdłuż koryta rzeki. Sady te, pomimo, iż obecnie pozostawione są same sobie, pomimo, iż drzewa mchy i liszajce okryły, rodzą prawie co roku dzięki bogactwu ziemi, a szlachetne gatunki owoców wskazują, że zakładaniem sadów kierowała ręka znawcy. Sady te, dziś w wielkiej części zdziczałe i słabo odnawiane, są własnością włościan i według swych posiadaczy noszą nazwy, jakkolwiek często nazwy te odnoszą się do właścicieli, o których już i tradycja zaginęła. Nazwy sadów wszakże w połączeniu z nazwami zatok, wyrw, pojedynczych drzew i t. p. stanowią doskonałą podstawę do najdokładniejszego oznaczenia miejsce.

Miejsce, określone przez wyrostka, znałem dobrze. Była to spokojna a głęboka zatoka, na dnie której spoczywało mnóstwo dębów wraz z korzeniami, wyrwanych z podmulonego brzegu. Przyroda zda się sama, starając się o utrzymanie rodzaju, wytwarza taki pogmatwany labirynt, urągający wszelkim sposobom przemyślnych rybaków. To też w takim labiryncie pni, gałęzi, korzeni i t. p. leżą spokojnie sumy, czychając na zdobycz. Wprawdzie i tu dosięgnie je czasem ość wprawną kierowana ręką, ale gdzież-bo na świecie, wśród walki wszystkich stworzeń o byt, pewne można znaleść schronisko?

Teraz sumy, używając swobody, w chłodzie wieczornym, wlokły swe czarne cielska po powierzchni wody, bawiąc się łatwą zdobyczą, jaką im roje spadających w wodę owadów nastręczały.

Na oznajmienie wspomniane, stary rybak z gromadki, przy której stałem, machnął ręką z wyrazem takim w twarzy, jak gdyby już przedtem wiedział, co się w tej chwili „pod Kobenów sadem na Wielkim Ługu“ dziać może, i wyrzekł z największym spokojem:

— Bude doszcz... I wołok podru i sima ne distanu, a Małańczuka ne ma, bo chrestyny robyt.

Zaciekawiła mnie odpowiedź tego starego dziecka natury, osobliwie owa łączność szczęśliwego ojca „co robi chrestyny“ z sumem w rzece. Lecz rybak tak znacząco spojrzał na strzelbę, która przy mnie stała, iż odłożyłem pytania na później, a zrozumiawszy mimikę, chwyciłem za strzelbę i za kilka minut byłem na brzegu niedaleko od „sadu Kobenów“. Dwóch rybaków pobiegło naprzód z biegiem wody i zniknęli mi z oczu w dobrym już mroku.

Wśród niebotycznych dębów, z strzelbą naładowaną dwoma kulami, których przeznaczeniem było zgładzenie jakiego gruboskórca w opisanych dąbrowach, zbliżałem się kilka sążni wysokim gliniastym brzegiem do sadu, gdzie świeciła się już zdaleka szyba zacisznej przystani „Wielkiego Ługu“. Opodal nurt rzeki rytmicznemi łyskał falami, a w nich odbijały się już tu i owdzie gwiazdy.

Cisza była dokoła. Zjawiska świetlane na wodzie, to niby piękny sen; nieruchome światełka firmamentu kąpią się we falach, a duch nocy usposabia je do wesołego tanu. Śniłem i ja, wpatrując się w owe łagodne światełka, w owe błyski, co świecą, a wzroku nie rażą, jakby zwiastuny owej wiekuistej światłości, która świeci na daleką wędrówkę po za życie i byłbym dalej jeszcze marzył o tem i owem — gdy nagle poczułem lekkie dotknięcie ręki. Jeden z rybaków stał przy mnie, wskazując ręką na jakiś czarny przedmiot na zwierciedle „Wielkiego Ługu“. Nie był on wcale idealistą, nie marzył w tej chwili o świetle wiekuistem, ale, jak to zdrowemu synowi przyrody przystało, myślał o sumie, który wypłynął na powierzchnię ługu.

Zagrała we mnie rybacko-myśliwska żyłka. Począłem się ostrożnie jak kot skradać brzegiem ku miejscu wskazanemu. Wreszcie doleciało mnie oryginalne mlaskanie. Zbliżywszy się na sam kraj brzegu, ujrzałem ogromnego suma w oddaleniu około 3 metrów od brzegu. Otwierał on i zamykał rytmicznie paszczę, połykając na wodzie pływające owady. Wydał mi się niby kłoda czarna. Ogromny łeb i grzbiet sterczał nad wodą, połyskując, jak gdyby był oliwą posmarowany.

Była to chwila najdogodniejsza do strzału. Wymierzyłem w środek łba i strzeliłem. Rozbójnik po strzale rzucił cielskiem potężnie, lecz wnet zakotłowała woda i sum zniknął z oczu moich. Byłem pewny, że tu koniec widowiska, że przepadł bezpowrotnie w głębiach i labiryntach Wielkiego Ługu. Gdybym sam tylko znajdował się na tego rodzaju polowaniu, nie kusiłbym się nawet poszukiwać dalej suma wśród nocy, w żywiole tak niepewnym, a nie pomyślałem o tem, że trudno jest nawet najcelniejszym strzałem odebrać od razu życie tak twardemu organizmowi. Lecz pomyśleli o tem chłopi rybacy, bo wnet po strzale usłyszałem uderzenie wiosła i chłopak, który doniósł o sumie, z rybakiem Stachem Hilhenem posuwać się poczęli łódką z biegiem wody do jazu, urządzonego na rzece o jakie 200 kroków od miejsca strzału. Pobiegłem za głosami i stanąłem na brzegu koło jazu, dokąd i łódź dopływała.

Jeżeli sum był trafiony, o czem rybacy nie wątpili, mając do mnie w tym kierunku wszelkie zaufanie, to musiał z wodą popłynąć do jazu, tu zatem postanowili czekać stanowczo.

W jaki sposób można go w nocy z wody wyłowić bez sieci, było to zagadką, którą pozostawiłem do rozwiązania rybakom, uważając swoją misyę za skończoną. Z 10 minut zeszło na czekaniu; w ciągu tego czasu straciłem wszelką nadzieję marynaty z suma. Rozmawiałem rybakami o tem co zaszło, i dowiedziałem się, że z umysłu nie czekali do strzału na „Wielkim Ługu“, bo wiedzieli, że nawet po najcelniejszym strzale sum pójdzie na głębię i dopiero po chwili z wodą popłynie. Podczas pogadanki wpatrywali się jednak obaj w zwierciadło wody, uważając na najmniejsze jej poruszenia. Raptem rozległ się plusk, woda skłębiła się w jednem miejscu, a jednego z rybaków zabrakło w łodzi. Toczył on nierówną walkę z śmiertelnie rannym sumem.

Po dość długiem borykaniu się, podczas którego to głowa, to ręka człowieka, to znów ogon suma nad powierzchnią wody się ukazywał. spostrzegłem rybaka mocno zasapanego, jak ciągnął ogromną rybę do czółna, uchwyciwszy ją oburącz pod skrzele. Sum bił jeszcze potężnem swem ciałem, lecz nic mu to nie pomogło; włożono go do czółna i wśród objawów wielkiej radości wiosłowali rybacy pod wodę do miejsca, gdzie czółno zwykle na uwięzi stało.

Zdążałem brzegiem równo z nimi. Na brzegu czekał już żydek z pobliskiej wioski, który, Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób dowiedział się o szczęśliwym połowie, i był już poinformowany o wszelkich szczegółach. Żydkowie nasi mają swego rodzaju telefony, które nigdy nie zawodzą, bo nigdy się nie psują. Kilku chłopaków z drużyny rybackiej rozniecało właśnie ogień na brzegu, a z kieszeni chałata żydowskiego sterczała bardzo powabna i wiele obiecująca flaszka. Pod pachą trzymał żyd jakiś potężny kantar przedpotopowoj konstrukcyi, opatrzony domorodną skalą, będącą w wiecznej wojnie z odwiecznemi prawami statyki. Zakazaną ową broń dzierżył w tej chwili całkiem bezpiecznie, przygotowując się do interesu.

Przepisy Mojżesza wzbraniają wprawdzie mozaistom jedzenia mięsa ryb bez łuski, do których i sum należy, nie przeszkadza to jednak traktować ryby te jako przedmiot korzystnego handlu. Dzięki kantarowi, za który ręczyć mogę, iż uregulowany był na minimum wagi, dowiedziałem się, iż sum ważył 44 klgr., mierzył zaś około 1.70 metra, a miara ta była o wiele dokładniejszą od wagi, dzięki zdrowej ręce o pięciu palcach, czyli piędzi, która się 7 razy w długości mieściła. Tym razem cała kombinacja żyda obróciała się w niwecz, bo ja ułożyłem się z rybakami i suma zabrałem.

— A no dawajte na wizok Małańczukowy zwirynu — odezwał się za mną głos już nam znajomego starego rybaka.

Powtórzenie po raz wtóry tego nazwiska, rozciekawiło mnie o tyle, iż podczas, gdy inni dźwigali suma do wózka, ja pytałem się starego, kto jest ów Małańczuk i dlaczego już drugi raz go wspomina?

Z opowieści jego dowiedziałem się, że Fedko Małańczuk jest obecnie bardzo „tantnym“ gospodarzem we wsi sąsiedniej, i że jako myśliwy i rybak dorobił się pięknego gospodarstwa. Był to zatem rarytas w całem tego słowa znaczeniu, zwłaszcza u chłopa naddniestrzańskiego, rybak i myśliwy (co znaczy tutaj kłusownik), a przytem zamożny gospodarz.

Małańczuk odznaczał się szczególnym sprytem w połowie sumów, które zwykle oścą z wody wyciągał. Razu pewnego, gdy Dniestr okryła gruba warstwa lodu, urządzał on sobie połów z drugim towarzyszem właśnie w tem miejscu, gdzie niedawno strzelałem do suma, t. j. na „Wielkim Ługu“. Zrobiono przeręblę, a Małańczuk w lesie pni i korzeni na dnie próbował szczęcia oścą, umieszczoną na długiej żerdzi. Tym razem jednak subtelne czucie ręki zawiodło go, bo (jak twierdził rybak stary) wyszedł z domu „w neszczasływu hodynu“ i zamiast w mniemanego suma, wbił mordercze żelazo w nadgniłą i oślizłą kłodę na dnie rzeki. Żerdź wyciągnął, ale żelazna ość pozostała „na try chłopy“ głęboko pod powierzchnią lodu.

Dla zrozumienia tego, co później nastąpiło, napomknę tutaj, iż oście tutejszych rybaków, któremi wyławiają sumy i szarany (karpie rzeczne), złożone są z dwóch luźnych części, z których każda posiada po dwa końce strzałkowate, obie zaś są umocowane zapomocą żelaznej obrączki na długiej żerdzi z drzewa lekkiego.

Z pewnością nikt z ludzi nie przyszedłby na koncept, na który wpadł obecnie nasz Małańczuk. Oto w jednej chwili, pomimo, iż mróz był dokuczliwy, rozebrał się do naga, a zleciwszy towarzyszowi swemu, aby trzymał żerdź, opartą spodnim końcem o kłodę, w której żelazo utkwiło, spuścił się po niej w mroźną otchłań. Za chwilę był znów na lodzie, trzymając w ręku połówkę ości; druga połowa tkwiła jeszcze na dnie w zdradzieckiej kłodzie. Byłby i drugą od razu wyciągnął, „ałe — mówił stary — duch mu zaperło i musił widsapnuty“. Odsapnąwszy, bez namysłu spuścił się po raz drugi, a był szczęśliwszy od owego nurka z ballady, bo wyciągnął i drugą połowę ości. Wszystko to brzmi niby bajka, jednak bynajmniej nią nie jest; opowiadają to zdarzenie wszyscy rybacy, opowiada naoczny świadek, a bohater żyje dotąd, i żyć będzie długo w tradycyach swej okolicy.

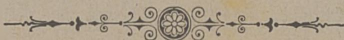
Lecz cóż mogło być powodem do takiego czynu? Wszak lodem ścięty Dniestr, to nie Charybda gorącej Sycylii, a nagrodą nie złoty puhar lub ręka prześlicznej królewny, ale kawał żelaza wartości jednej niewielkiej rybki.

Pomimo, iż wiek nasz słusznie nazywamy żelaznym, nie rozwielmożnił on się jeszcze tak bardzo w żadnym zakątku osady naddniestrzańskiej. Tu zawsze jeszcze kawałek żelaza w oczach osadnika przedstawia wartość nadzwyczajną, wartość wygórowaną do śmieszności. U tych ludzi natury żyje zawsze jeszcze w tradycyach pamięć owych wieków, w których w braku żelaza posługiwać się musiano nieudolnie innemi materyałami. Dlatego to „żelizo“ wywiera na chłopa naddniestrzańskiego dziwnie pociągający, magnetyczny wpływ i ma u niego wartość przesadną. Zresztą, człowiek w ogóle przywiązuje się do martwej rzeczy, zwłaszcza do broni, narzędzia itp. nadającego mu się do ręki; żołnierz przywiązuje się do szabli, myśliwy do strzelby, którą ściąga drutem i związuje sznurkami, gdy już stara i połamana, a rybak do swej ości. Człowiek przesądny szanuje ją oprócz tego niby talizman szczęścia i powodzenia. Toż i Małańczuk wolał przebyć lodową topiel, niż postradać swą ość ulubioną, która już w niejednym tkwiła sumie.

* * *

Noc już była późna. Ze zdobyczą moją wlokłem się do domu powoli. Robiło się coraz ciemniej. Od zachodu zasuwały niebo ciężkie chmury, goniąc powoli słabe światełka nocy na firmamencie. „Bude doszcz“ pomyślałem, powtarzając słowa starego rybaka. Miał racyę sum, iż czując zmianę, wypłynął na powierzchnię wody, a miał racyę i stary rybak, bo zamiar suma przewidział.

W Koszarkach d. 10. lipca 1889.



PLAGA PODOLSKA.

Z dawnych wspomnień

skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

Niech tytuł tak straszny nie przeraża łaskawego czytelnika. Plaga, która przez dłuższe lata trapiła Podole i Opole brzeżańskie, aż pod sam Lwów zachodząc, nic a nic nie była podobną do owej egipskiej, lub nieraz na Podolu pojawiającej się plagi w postaci szarańczy lub myszy. Plaga ta trapiła wyłącznie tylko dwory i dworki szlacheckie wschodniej części naszego kraju — w osobie dziś już nieżyjącego Benedykta Jałowickiego.

Zkąd pochodził Benedykt Jałowicki — nie wiem. Po raz pierwszy poznałem go w Kamienopolu przed laty około trzydziestu pięciu, gdym na ferye do domu ojca mego przyjechał. Jałowicki liczył wonczas lat około 40. Średniego wzrostu, chudy, jakby zawędzony, cerę miał literalnie czarną. Zarost twarzy, głowa porośnięta czarnym, w granat wpadającym, szczecinowatym włosem, oczy duże, siwe, na wierzch wysadzone, w okrągłej oprawie, dzikiego blasku — przytem śnieżnej białości zęby — czyniły go strasznym. Otwarcie wyznam, bałem go się wówczas. Słudzy domu przezwali go „czornyj“, bo w dodatku ubierał się zupełnie czarno. Na łowy, wyłącznie tylko charcie, jadąc, głowę pokrywał czerwonym fezem tureckim — wyglądał natenczas jak Nubijczyk. Powtarzam, bałem go się i sądziłem, że jeśli nie jest samym dyabłem, to przynajmniej bardzo bliskim jego krewnym. Obejście Jałowickiego było szorstkie, jakkolwiek w obcym dla siebie domu śp. ojca mego. Nas nie miał za nic, a sługi domowe wiele doznawały odeń przykrości i literalnie nienawidziły go.

Ojciec mój wyszedł był podówczas z własnego miotu chartów, toż nie mając innych, przyjął na razie dwoje chartów, które był Jałowicki z sobą przyprowadził, solennie zaręczając, że są znakomite. Wszyscy powitaliśmy je z największą radością, zbyt jednak drogo okupić było potrzeba ową wymarzoną przez nas przyjemność ścigania zajęcy, gdyż charty owe mniej były sławne, niż je być mienił ich właściciel. Najprzód Jałowicki osobiście dobierał im owies na osypkę. Ten ma łupę grubą, ów niedorodny; w tej mierze wycierpieliśmy męki podradczyka, dostawiającego owies do rządowych magazynów. Suszenie owsa przysporzyło dziewkom mnóstwo przezwisk i szturchańców. Młynarz, osobiście doglądany przez Jałowickiego przy mieleniu osypki, oświadczył spluwając, że „jeżeli ten „czarny pan“ raz jeszcze zechce mnie pouczać przy mieleniu tego podłego mlewa — z młyna ucieknę“.

Za nóżkami baraniemi na „nawarę“ rozsyłano posłańców na wsze strony. Charty, mimo ciepła, spały w sieni. Można sobie więc wyobrazić następstwa ich przekarmienia. A koni para Jałowickiego, któremi przyjechał, oraz chłopak odarty, udający woźnicę — opływały tak jak konie komornika, przybyłego z komisyą.

Całych trzy tygodnie trwały przygotowania do pierwszego polowania, które z zupełnem zbiorem plonów z pól rozpocząć się miały. Nikt jak ja z większem upragnieniem nie czekał tego polowania. Ano pewnego wieczora mówi do ojca Jałowicki:

— Jutro „czut świt“ pojedziemy na polowanie. Charty moje wodzę na smyczy, proszę zatem o dobrego a łagodnego konia, żeby mi charta nie uderzył. A trza wiedzieć, że chart niedarmo „Kapitał“ się nazywa, bo to prawdziwy kapitał, skarb. Dziedzic z Perepelnik dawał mi za niego parę koni.

— A czemuż pan nie wziął? — wyrwałem się.

Na to Jałowicki z pasyą:

— Bo, bo nie dawał tego, co ja chciałem. Szczo ty rozumijesz.

Ojciec mój zrobił uwagę:

— Zapewne za pełnoletnie charty dawano panu również pełnoletnie konie.

— Pan mi ubliżasz — ofuknął się na to rezolutnie — zazdrość przezeń przemawia. Wiem, wiem, że w oko mu wpadły. A suka „Fajna“, to cymes. Będzie temu dwa miesiące, jedziemy z panem R... w polę, ot tak, dla zabawy. Wziąłem z sobą i te charty. Ano jedziemy, aż tu naraz szmyrk kopyra z pszenicy. Poszły za nim. Sypią obroty aż miło, już, już będzie kniaź, kniaź — a wtem pomyka drugi zając. Wie pan, co charty zrobiły? Kapitał ścigał i wziął pierwszego, a Fajna jak ne „wtne“ swoju sztuku, porzuciła pierwszego zająca i poszła za drugim, no i wzięła go i to w środku łanu pszenicy na pniu stojącej. A co, może nie sztuka?

Całą tę noc nie spałem, tak mi dojechało owe opowiadanie Jałowickiego.

Zaświtało — dosiadamy koni i jedziemy. Zajęcy było dużo, toż niebawem z przed konia mojego pomknął zając, bynajmniej nie gracz. Hajże-go! Jałowicki, brat moj, pociskamy konie, by nie stracić ani jednej chwilki z pościgu. Pastwisko, z którego wymknął zając, było równe i choć pokryte niewielkiemi kępami, wyborny dawały teren do pościgu. O jakie ćwierć mili, na płaskowzgórzu znajdował się las wsi Mikłaszowa. Na płaskiem pastwisku szedł pościg jako tako; charty były blisko zająca, lecz nie przyszły do obrotu. Gdy jednak zając dobrał się do wzgórza, na którem jeszcze dość daleko znajdował się las, odsadził się na dalszą metę od chartów, pogubił je wreszcie i dopadł podszytej kniei.

— Wykpił się, wykpił się! — woła Jełowicki.

— E nie, — brat mój na to - uciekł!

— Co pan rozumie — odparł Jałowicki opryskliwie — jeszcze się charty nie wyciągnęły.

— Może i to być — zauważył ojciec.

Po dłuższej pauzie, żeby charty miały czas się wydychać, nanowo poczęliśmy szukać. Jako wprawni charciarze,

jechaliśmy wedle wszelkich form, ale że to była jesień, zając dosiaduje twardo, więc nie zbyt koń od konia oddalony. Jałowicki miał jednak wiecznie coś do skarcenia: To nie rozszerzać się, bo zając zbyt daleko od chartów pomknie, a wtedy i najlepszy zająca nie weźmie. To znowu zjedźmy z roli, bo zaschła i twarda jak krzemień, charty mogą posadzać pazury a i pościg niemożliwy na takiem polu itd. Pomknął wreszcie drugi zając z koniczyny, z przed samych kopyt konia Jałowickiego. Tym razem zając był gracz nielada. Ufny w swe nogi, nie uciekał jak pierwszy w stronę oddalonego lasu, lecz wprost ku dość stromej górze. U samego jej podnóża znacznie wyprzedził charty i znikł wreszcie poza szczytem, co widząc owe, nietyle dobre, ile mądre charty, ustały w szlachetnym zapale ścigania niewidomej już ofiary. Jałowicki głośnem naszczuwaniem pragnął obudzić zapał w swych chartach. Daremnie. Pozostały nieczułe na wszelkie bodźce słowem, a nawet charapem, którym je, rozsierdzony, sporo obłożył. Po oberwaniu kilku potężnych razów obudził się w nich zapał do ścigania, ale — ku domowi. Co tchu pomknęły w tę stronę. Na podobny widok we trzech choralnym wybuchliśmy śmiechem. Ojciec mój począł kpić, mówiąc:

— A to ambitne jakieś podolaki! Wstyd im nietyle pokpienia sprawy w ściganiu — snać im to nie nowina — ile despektu wzięcia harapem wobec ludzi mało sobie znanych.

— A, co mi pan mówi! — odcinał się Jałowicki. — To charty sławne — a takem je dobrze do polowania przygotował!

Na to ojciec mój:

— To! to panie Benedykcie: „Gdzie dużo przygotowań, nic po dyalogu“, dobrze powiedział ks. biskup Krasicki.

- Ma pan racyę — odrzekł Jałowicki, jako ograniczony nie poznawszy się na właściwem znaczeniu przytoczonej satyry — być może, iż za dużo i za tłusto je karmiłem, więc się zepsuły. No, no! — odezwał się, jakby do siebie — „ne diżdajesz“ (nie doczekasz), nie dam żreć tyle, a wtedy *gut*.

Z powrotem do domu zastaliśmy sławne charty w sieni na siennikach rozciągnięte, zażywające spoczynku po niewielkich trudach.

Znów przeszedł dłuższy czas w przygotowaniu chartów do pościgu przez schudzanie. Ferye miały się ku końcowi, toż począłem Jałowickiego molestować, żeby wyjechać na polowanie, ponieważ charty chudsze już nieco. Pojechaliśmy wreszcie. Na poszczutych pięć zajęcy psy wzięły jednego i to młodzika, reszta bądź do lasu się skryła, bądź, pogubiwszy charty, przepadła śród obszernych pól. Żartowaliśmy z chartów i ich właściciela.

— „Ot, teper dohadawsia“ — przemówił Jałowicki. — Czary, czary sprawiły, bo pytajcie wszystkich sąsiadów, a głównie śp. pana deputata, jakie to sławne charty.

Na potwierdzenie kłamstw swych miał Jałowicki zawsze zwyczaj odwoływać się do świadectwa nieboszczyków.

— To stara Wrześniowska, klucznica, sprawiła — mówił — nie darmo, gdyśmy na polowanie wyjeżdżali, dawała mi z najwyższą furyą słoninę na odprawę dla chartów... Bo już to nie ma jak ten specyfik na zmęczenie chartów długiem ściganiem. Miasto wody, lub jak niektórzy używają naboju prochu, wsypanego w gardła zdyszanych chartów dla ochłody — słoniny kawałek, to im „harazd“.

— W istocie — przemówił mój ojciec — sam widziałem, że niekiedy charciarze zadają nabój prochu strzelniczego chartom swoim. Ot, panie Benedykcie, i twoim zdało by się dać po naboju prochu, z dodatkiem jednak śrótu.

Na to Jałowicki z całą furyą:

— Tak pan mówi? Nie dość, że trzymasz pan klucznicę, która, iż jest czarownicą, to bodijem ne diżdaw zautrijszoho dnia, jeszcze pan kpi, gdy człowiek w największej złości.

— Co się tycze Wrześniowskiej — odpowie mój ojciec — jakkolwiek niepierwszej młodości panienka, liczy bowiem 50 wiosen dopiero, no, i niezbyt nadobna, przyznam jednak, że musi być czarodziejką, czyli czarownicą, gdy zdołała oczarować nietylko charty, lecz i ich właściciela.

Tego było już zanadto rozsierdzonemu nieużytecznością chartów swoich Jałowickiemu.

— Tak pan mówi? Dobrze, noga moja w domu jego już nie postanie! — Poczem, zaciąwszy konia nahajką, pomknął jak strzała ku domowi. Nie ucwałował jednak jak sto kroków, gdy nagle zatrzymał konia i począł w niebogłosy wołać: Heco, heco! Hasło to charciarskie, gdy się w miejscu upatrzyło zająca. Podbiegły doń charty i my zbliżyliśmy się pełnym kłusem. Pomknął szarak, charty poszły za nim i — wzięły.

— A co? — woła Jałowicki z tryumfem — trysta mu mater, zuch moje pieski. Zawsze one takie, tylko je Wrześniowska zaczarowała, a ja odczarowałem, odrzucając słoninę, którą mi dała z taką złością i zrobiwszy coś jeszcze przeciw jej urokom.

Długo molestowałem Jałowickiego, żeby się dowiedzieć owego remedium niszczenia uroków, lecz nadaremnie.

Jakkolwiek charty, ścigając sześć zajęcy, mocno były zmęczone, Jałowicki, wpadłszy w dziki zapał, dalej chciał jeszcze polować. Ojciec sprzeciwił się temu. W życiu mojem nie zdarzyło mi się spotkać podobnego zapaleńca. Był wstanie dniem i nocą a nawet o każdej porze roku szczuć zwierzynę, jaka się nawinęła.

Ileż to razy, skoro tylko Jałowicki zjechał do Kamienopola, obadwa, wyznam ze wstydem, pieszo, dla odwrócenia uwagi ojca, wymykaliśmy się na polowanie z chartami. Charty mieliśmy dobre, więc pomimo traw i zbóż mało co uszło poszczutych zajęcy. Prawdziwe łupy naszej nierozwagi, żeby uniknąć słusznego gniewu ojca mego, dla zatarcia bezprawia, grzebaliśmy w ziemi.

Jałowicki nie dotrzymał pogróżki natychmiastowego opuszczenia domu naszego; został aż do zimy, a zjawił się w Kamienopolu już następnej jesieni. Kędy bywał? Zjeździł całe niemal Podole. Wszyscy jego, on wszystkich znał. Jeżdżąc „rzemiennym dyszlem“, zbaczał tam jedynie, gdzie trzymano charty; ze strzelbą nie polował nigdy. Był to człowiek dziwnie niespokojnego usposobienia, wątpię też, żeby był gdzie długo pożądanym gościem. Nie było z nim, jak to mówią, „ni mowy ni rozmowy“, tak był ograniczony. Właściwy też stworzył sobie żargon, często trafny, ale często chyba jemu jedynie zrozumiały. Będąc namiętnym charciarzem, żargonem charciarskim oceniał także ludzi, nadając im wady lub cnoty chartów, lub nawet zwierzyny. Jakiś tam znajomy jego miał być „bierczym“ (pewnie dowcipnym), ów znowu „bałą“ (flegmatyk pewnie). Jakiś znowu młodzieniec zdaniem jego był „kawalerem namłotnym“. Co za przymiot miało to oznaczać, nie mogliśmy się domyślić, a Jałowicki wyłożyć nam nic zdołał.

Jałowicki, jak już wyjaśniłem, wyglądał wcale niepocześnie, rad był jednak, osobliwie na polowaniu z chartami, wodzić rej, co po części mógł też czynić, znając wybornie,

z odliczeniem zabobonów, któremi był przesiąknięty, charcie polowanie.

Pewnej jesieni ojciec mój urządził u siebie, o ile się dało w małym obszarze swego lasu, duże polowanie. Między licznymi gośćmi był i Adam Hoszowski, osobistość zbyt dobrze znana starszym myśliwym, bo należał w swoim czasie do rzędu słynnych myśliwych w Galicyi. Zasobny, posiadał bowiem znaczne kapitały, piękną wieś Chłopczyce koło Dniestru i Strwiąża położoną i dworek we Lwowie na Stryjskiem. Przy dworku owym były stajnie i duża psiarnia, pełna psów różnego gatunku. Ogary i charty przeważały, gdyż Hoszowski tak w lesie z gończemi jak i z chartami polował namiętnie. Miotowych psów nie posiadał. Cała jego psiarnia pochodziła z nabytku *per fas et nefas*. Liwerunkiem psów trudnili się wówczas więcej handlarze niż myśliwi, w szczególności Jagniątkowski i Białogłówka, mieszczanin lwowski na Janowskiem, w domu „pod wiatrakiem“ mieszkający. Hoszowski miewał charty liche, miewał jednak i dobre. Zaproszony do Kamienopola na polowanie, dniem wprzód przysłał chude gończaki swoje, około ośmiu sfór. Dodam, że była to liczba zbyteczna na kniej 50-morgową, pragnął jednak zaimponować. Drugiego dnia sam zjechał na siwym, jak dziś pamiętam, koniu, z dubeltówką w „wytoku“. Za nim jechało trzech chłopców, każdy wiodąc na smyczy po parze chartów prawdziwie pięknych, dużych, rasy polskiej. Zgryzłem się na widok tych personatów. Jakże nikczemnie wyglądało wobec chartów Hoszowskiego troje naszych chartów rasy czysto ukraińskiej, z gniazda słynnego Karola Jagiełłowicza. Każda smycz chartów Hoszowskiego innej była maści. Para „podżarych“, żółtych i białych jak mleko, gładkiej sierci i, jak to mówią, wychuchanych.

Ano, rozpoczęły się łowy najprzód w lasku. Puszczono naraz wszystkie szesnaście ogarów. Cóż za nierozum, do tak małego lasku puszczać taką złaję psów! To też mało co zwierzyny padło, albowiem co było, wymknęło w pole. Hoszowski nic nie zabił, więc był zły. A umiał się sierdzić, mając ku temu twarz o przykrym, dumno skrzywionym wyrazie. Rychło się skończyło owe polowanie w małym lasku, więc kto żył, dosiadłszy konia, ruszał w pole. Kierownictwo charciego polowania oddano Hoszowskiemu. Dojeżdżacze Hoszowskiego wiedli dwie smycze, on zaś prowadził osobiście na smyczy parę owych chartów podżarych. Brat mój wiódł parę naszych chartów, a ja charcicę, która każdego zająca brała w pojedynkę. Jałowickiemu, który na owem polowaniu był obecnym, nie podobało się, że miast jemu, Hoszowskiemu oddano kierownictwo polowania, toż bezprzestanie, jak mówią, lazł w oczy Hoszowskiemu, to o to lub owo wszczynając z nim dysertacye. Komenderuje Hoszowski: Rozjechać się! — a koni było ze szesnaście, więc łańcuch długi. — Na to Jałowicki:

— Możeby lepiej podzielić się na dwie partye. Sam pan dobrodziej niech poluje z swojemi „ślicznemi“ (rzekł to z przyciskiem) chartami, a druga partja pojedzie ot, z tą mizerotą.

Spojrzał na niego Hoszowski, jak to on umiał, z góry, łyskając oczyma, lecz nic nie odpowiadając na tę uwagę. Jałowickiemu jeszcze więcej na wierzch wylazły jego okrągłe siwe oczy. Nie dając za wygranę milczącej opozycyi Hoszowskiego, ponowił swoją uwagę, dodając:

— Ja pojadę w partyi pana dobrodzieja, chciałbym widzieć, jak też ścigać będą jego charty.

Na to Hoszowski z całym impetem:

— A to co za jegomość?

Ojciec mój, tuż przy Hoszowskim jadący, naprożno niememi znakami upominał Jałowickiego, w końcu wszakże pospieszył z przedstawieniem go Hoszowskiemu.

Porządek nie był zmienionym; ruszyliśmy w jednej partyi. Hoszowski z jedną smyczą chartów na prawem, my zaś z bratem na lewem skrzydle. Dwie smycze rezerwowe chartów Hoszowskiego poszły daleko po za front.

Jałowicki, prawdziwie jak dyabeł grzesznej duszy uczepiwszy się Hoszowskiego, chociaż nie proszony i nie pożądany, jechał tuż koło niego. Umówionem było, że zająca, pomkniętego z prawej połowy łańcucha jeźdźców, poszczuje Hoszowski, z lewej strony ja z bratem. Podział łańcucha odznaczał jeździec na siwym koniu jadący.

Od prawego skrzydła pomknął zając. Poszły charty Hoszowskiego. Charty owe, dużych rozmiarów, stosowniejniejszemi były do równego a dalekiego „pola“, biorąc zająca obyczajem chartów podolskich. na daleką metę go „sforsowawszy“. Tymczasem pole, po którem zając pomykał, było mocno wzgórkowate; toż zanim się charty owe rozmachały, zając, przeszedłszy pagórek, znikł im z oczu. Charty nasze, zoczywszy pościg, poczęły się targać na smyczy i skowyczeć. Brat mój, mając smycz rzemienną, zdołał je utrzymać; ja w braku rzemienia trzymałem charcicę na sznurku, urwała go i, że była „zoczna“, pomknęła w stronę, gdzie charty Hoszowskiego ścigały pomykającego w znacznej odległości zająca. Niemal wszyscy myśliwi znaleźliśmy się na szczycie wzgórza, skąd widać było dokładnie pościg chartów za zającem. Charty Hoszowskiego ciemnej barwy, moja zaś suka jasno-masłowata — wyraźnie ją poznać, że ona na zającu jedzie, gdy przeciwnie, paradne personaty zdala machają. Po dwu obrotach masłowata charcica, bez współudziału podżarych, wzięła zająca.

— Wiwat „Pulka“! (tak zwała się nasza charcica) — wykrzyknął Jałowicki. — To sobaczeńka lubeńka, kudy kuchti do patyny a waszym do toho zajacia!

Ojciec mój, odwodząc bez ceremonii konia, na którym jechał Jałowicki, zażegnał piorun, który już spaść miał z oczu i ust Hoszowskiego. Dla uniknienia niemiłej jakiej sceny, ojciec polecił mi odciągnąć Jałowickiego od tej partyi i we dwóch z nim w inną odjechaliśmy stronę. Wróciliśmy uszczuwszy sześć zajęcy, gdy główna partya z sześcioma chartami, szczując coś dziesięć zajęcy, ułowiła tylko cztery; reszta uciekła. Ojciec opowiadał mi, że Hoszowski długo nie mógł pohamować gniewu, który nim miotał na tę, jak się wyraził, „hardą duszę w nędznem ciele“.

Jałowicki wątpię, żeby kiedy o czemś innem myślał, jak o polowaniu; śnił nawet tylko o łowach. Dobrze mówi przysłowie: „Co się kurze śni — proso“. Jałowicki, skoro tylko usnął, wnet poczynał rozgowor z samym sobą, wyjawiając wszystkie czynnoćci swe na jawie już wykonane, lub zamysły wykonać się mające w przyszłości. Kłócił się z kimś, to śmiał się, a najczęściej polował z chartami. Niejednokrotnie głośnym wykrzykiem „hajż-go“ budził dom cały, stając się tym sposobem nie nader miłym współlokatorem w jednej sypialni. Gdy latem do nas ściągnął, lokowano go w śpichrzu, gdzie dowolnie mógł rozmawiać lub wykrzykiwać.

Pewnego lata zjechało na ferye do Kamienopola oprócz nas dwóch i dawnego naszego nauczyciela G..., dwóch naszych kolegów szkolnych, a również Jan Dobrzański. Pierwotny dom w Kamienopolu nie był nader obszernym, nie

zdołał pomieścić licznego zastępu młodzieży, toż wszyscy instalowaliśmy się w śpichrzu. Niebawem nadjechał Jałowicki, i to, jak najczęściej czynił, wierzchem. Młodych wszystko bawi, toż głośnem: Wiwat! powitaliśmy jego przybycie. Jak w wielu względach Jałowicki był oryginałem, tak też i w swoich podróżach wierzchem lub „szarabanikiem“ tj. wózkiem węgierskim, w całej długości pokrytym budą z zielonego sukna. Dziś w Galicyi wózki podobnego fasonu już nie istnieją. W czasie mojego opowiadania dość często takowe napotkać było można. Jeździła niemi szlachta mniej zamożna, żydzi handlujący wołami, lub wędrowni komedyanci. Bryka podobna, w całej długości pokryta budą — bo nawet woźnica siedział pod pokryciem — najbardziej nadawała się do podróży ludziom niezasobnym lub życie koczownicze wiodącym. Popasy i noclegi snadno pod gołem niebem odbywać było można — niemniej w skutek jej pakowności wozić z sobą całe swe mienie. Gdy Jałowicki czasami jechał podobną węgierską budą, śmiało mógł powiedzieć: *omnia mea mecum porto*. Bo i czegóż nie było w tym szarabaniku? Siedzenie pana i woźnicy stanowiły duże skrzynie, w tylnej t. zw. „kielni“ mieściły się liczne utensilia w postaci worków z owsem dla koni — a gdy charty były, osypki i nóżek baranich na „nawarę“, — wreszcie prowianty dla siebie i furmana. Dodam, że Jałowicki, z natury oszczędny i zapobiegliwy, w nader tylko rzadkich wypadkach uciekał się do swojej ambulansowej spiżarni. Znając wszystką niemal szlachtę i księży ruskich we wschodniej Galicyi, popasy, noclegi lub spoczynki u tychże odbywał, własne zasoby chowając na czarną godzinę. Mieściły się w tej bryce także trzy siodła — jedno kozackie — i mnóstwo derh na konie. Na bokach budy porozwieszane były obróżki na psy, smycze, nahajki i harapy — niemniej wspomniany już fez turecki czerwony.

Tym razem zjechał Jałowicki konno na niezłym lecz mocno wychudzonym koniu. Przy nim biegła charcica rasy wołoskiej, więc brzydka i mocno kudłata. Koń uginał się pod ciężarem jeźdźca i mnóstwem materklasów, które bałandały się u siodła kozackiego, samo przez się dość wysokiego, a podwyższonego jeszcze dużą skórzaną poduszką. Koń był dość rosły, siodło wysokie, toż Jałowicki siedział, jakby na szczycie dachu.

— Ano, ano! — zawołał Jałowicki, uszczęśliwiony naszym okrzykiem — prawda, co za koń! A sobaka, no, no! prawdziwa perła kałakucka, toż się i „Perła“ nazywa.

Pytam ja żartem:

— A gdzie pan wyrwał takiego bachmata?

— Gdzie? Ot, po drodze trafiła mi się facyenda.

— A która z kolei? — zapytam, wiedząc, że Jałowicki miał szczególną pasę do facyendek na konie i charty a nawet strzelby, jakkolwiek sam ich nie używał.

— No, która — odpowiada — trzecia z kolei. Zrobiłem z ekonomem jakimś w Glinianach zamianę za klacz moją, prysiaj Bohu, ze stada Sanguszków, którą znowu zamieniałem z księdzem w Zborowie. Charcica „Perła“ pochodzi z psiarni ks. Sturdzy na Wołoszczyźnie; dawano mi za nią 50 reńskich.

— I nie wziąłeś pan? — zagadnął ktoś.

— A nie. Oddam ją chyba za 50 dukatów!

— I to z warunkiem nieodbywania próby — dorzuciłem.

— Et, szczo ty rozumijesz!

Była to zwykła odpowiedź Jałowickiego, gdy go na kłamstwie lub przesadzie złapano.

Zakwaterował się do wspólnych naszych koszar. tj. do śpichrza. Wszyscy młodzi radzi byli z towarzystwa tego gaduły, lecz ja z bratem bynajmniej, bo wiedzieliśmy o jego śnie niespokojnym. Śpichrz duży, w porze letniej szlacheckim obyczajem o pustych sąsiekach, obszerną dawał nam kwaterę.

Mówię do Jałowickiego:

— Pan lubi spokój, więc kazałem mu urządzić posłanie w osobnym sąsieku; będzie mu wygodnie.

Nagadawszy się do syta na ganku śpichrza, siedząc późno w noc, rozchodzimy się spać, każdy do swego sąsieka. Wszyscy wnet posnęli, ja jeden tylko czuwam nie bez przyczyny. Słyszę, jak Jałowicki poczyna najprzód targ; powtórzyła się scena facyendy w Glinianach.

— Żeby mię Bóg skarał! Kobyłka a nu! — kłócił się z jakimś żydem. Naraz huknął swoje: Hajż-go! i kto spał zerwał się z łoża przestraszony. Jałowicki się zbudził i począł wołać:

— Jezus Marya! coś tu jest! Oho, znów mi skoczyło na głowę. Gwałtu! ratujcie!

Słyszę to wszystko. duszę się pod kołdrą od śmiechu, a inni silą się, żeby zapalić świecę. Zabłysło wreszcie światło, biegniemy do sąsieka Jałowickiego, a on, mimo swej smagłej cery, blady jak trup. z oczyma mocno rozwartemi klęczy na środku sąsieka, a po kątach, niby opętańce, wyskakują ku ścianom wylękłe dwa zające. Z umysłu ulokowałem tam Jałowieckiego, i byłem niemal pewnym sceny, jaką, będąc wielce zabobonnym, wyprawi. Zające, ujrzawszy człowieka, mimo nocy nie ruszyły się do swych zwykłych gonitw po pustej przegrodzie, lecz przycupnęły gdzieś w kącie; — wszakże głośne: Hajż-go! wyruszyło ich z tej kotliny. Nie zważając na nic, poczęły skakać po śpiącym. Długo musiałem przekonywać przesądnego Jałowickiego, że to nie duchy tylko zające, od mała chowane w śpichrzu, o których bytności zapomniawszy, ulokowałem go w ich przybytku. Mimo tego wytłumaczenia, Jałowicki nie chciał już spać samotnie i wkwaterował się do mojego sąsieka. Spotkała mnie więc za ten zły czyn natychmiastowa kara, bo sąsiedztwo z tym nocnym myśliwym niejednej pozbawiło mnie nocy.

Jałowicki ściągał do Kamienopola w części dla polowania z chartami, w części zaś dla bliskości Lwowa, w którym miewał interesa, robiąc doń częste, ma się rozumieć nie swoim sumptem, wycieczki.

Kilku młodzieży i charty w domu, w dodatku Jałowicki, jakże tu nie zapolować? Wedle praw natury, nie była to jeszcze pora łowów, a czytelnik niechaj się tem nie gorszy, bo w czasie mego opowiadania przepisy łowieckie istniały — ale na papierze. Urzędnicy gubernii i cyrkułów nic o nich nie wiedzieli, jakże myśmy o nich wiedzieć i wykonywać je mieli? Jedziemy tedy. Jałowickiego usadzono na białego jak śnieg konia, którego ojciec mój jako „wymusztrowanego“, czyli niezdatnego już pod muzykanta w pułku huzarskim na licytacyi był kupił. Jałowicki ze swą czarną, zarośniętą twarzą i w czerwonym fezie dziwnie odbijał od śnieżnej barwy konia. Wyglądał jak szeik arabski na czele niemniej półdziko wyglądającego zastępu jezdnych. Jan Dobrzański najwięcej zachwycał się tym naszym czarnym naczelnikiem.

— Patrzcie — mówił do nas — jakie Jałowicki robi oczy, istny Arab lub Baszybożuk. Jaka szkoda, że nie ma tu Kossaka!

W istocie, Jałowicki, wodząc w prawo i w lewo swemi siwemi, okrągłemi oczyma, żali gdzie nie dojrzy wymyka-

jącego lub w miejscu przysiadującego zająca wyglądał dziko.

— Uważać będę — mówił Dobrzański — czy przypadkiem Jałowickiemu po nocy jak wilkowi lub lisowi nie świecą się oczy. Niektórzy Angielscy podróżnicy zaręczają, iż ludziom ze szczepu Azteków, jak zwierzętom mają się nocą świecić oczy, skutkiem czego mają oni właściwość widzenia śród ciemnej nocy.

Jałowicki miał wzrok sokoli. Ileż to razy upatrzył lisa o jakie ćwierć mili na białem, a o tysiąc kroków na czarnem polu. I tego dnia dał dowód dobroci swego wzroku.

Uszczuwszy parę zajęcy, wracaliśmy ku domowi dość już ciemnym zmrokiem. Naraz krzyczy Jałowicki: hajż-go! Pomknął wprzód koniem, charty poszły za nim, i pościgawszy nieco, wzięły zająca. Nikt z nas, nawet brat mój, mający wzrok bardzo dobry, nie dojrzał wyskakującego z miejsca zająca, jeden tylko Jałowicki i charty.

Wiedzę swą przyrodniczą nie czerpał Jałowicki z ksiąg lub cudzych doświadczeń; odgadywał ją instynktowo, więc mimo trafnych częstokroć spostrzeżeń, błądził po manowcach zabobonu. Obyczaje zwierzyny łownej, osobliwie zajęcy, lisów i wilków znał dokładnie; to ułatwiało mu zdobywanie obfitych łupów i dogadzało namiętności myśliwskiej, której był oddany ciałem i duszą. W istocie, nie zdarzyło mi się spotkać drugiej podobnej jemu istoty. Dzień i noc byłby polował, jak ów zaklęty łowiec w baśniach ludu. Jeśli łakomym był w nabyciu mienia lub skóry lisiej, którą spieniężał, to niedbał natomiast o uszczutego zająca i darowywał każdemu, kto się oń przymówił. Końmi i chartami handlował, będąc w tej mierze prawdziwym „makinionem“. Najchętniej robił facyendę, oszukując niebacznych i niedoświadczonych bez wyrzutu dla swego sumienia lub honoru.

Duch jego niespokojny nie dał mu zająć się jakąkolwiek pożyteczniejszą pracą. W wędrówkach swych od domu do domu, nigdzie długo nie zagrzał miejsca. Miał gdzieś i bliższą rodzinę, lecz się do niej nie przywiązał, przekładając cygańską wędrówkę nad utworzenie własnego ogniska, lub zasiądzenie przy cudzem lecz życzliwem. Jan Dobrzański radził mu, żeby się postarał o berło króla cygańskiego, które wypuścił z martwej ręki szlachcic polski, mieszkający na Polesiu. Obyczajami a nawet cerą nadawał się do tej godności.

* * *

Roku 1856. przesiedliłem się z ojczystego gniazda w Złoczowskie, do Meteniowa. Potrzebując koni, pojechałem na jarmark do Złoczowa. Dążę na targowisko, naraz w samym rynku słyszę gromkie: heco! heco! zagłuszające gwar jarmarczny. Komuż u diaska — myślę — przyszło do głowy hukać po mieście jak śród pola? Aż naraz staje przedemną prawdziwie jak *deus ex machina* Benedykt Jałowicki.

— Byłem — mówi — w Kamienopolu, słyszałem, że pan w tych stronach mieszka.

I począł dalej prawić mi nie o rodzinie mojej, której od pół roku nie widziałem, tylko że charta „Pioruna“ zastrzelono, bo już stary i nie do użycia, że charcica „Pulka“ nie miała i mieć nie będzie szczeniąt itp. drobiazgi, które mnie nie obchodziły ani zajmowały. Pytam go:

— Pan tu za czem?

— Ot tak, z ciekawości i porobić znajomości, bo na jarmarkach i prażnikach najłatwiej.

W istocie, miał dar — a raczej posiadał nieposlednią dozę czelności — do nawiązywania stosunków. Dość było obetrzeć się — jak mówią — o niego, a już czepił się ciebie i bądź pewnym, odwidził w domu twoim, choćby o mil 50. A wszystko czynił gwoli polowania, przyczem postępował jak gospodyni księża w przypowieści. W pierwszym tygodniu mienie księże to „księże“, w drugim „nasze“, a w trzecim tygodniu to „moje“. Podobnie postępował Jałowicki. Pierwotnie zwykł polować z właścicielem obszaru lub polowania, później wszelkiemi sposoby odradzał temuż uczestniczenia, tłómacząc:

— Na co panu tego? Zając pański, lis mój, ot, korzystny interes.

Był to w swoim rodzaju komunista, więc nie nader miły w każdym domu, raczej cierpiany, niż pożądany.

Było to w drugiej połowie listopada. Wójt gminy przynosi mi cedułkę, że nazajutrz dostanę oficera od furwezów (pociągów), 6 koni i 4 ludzi na kwaterę dwudniową, czyli t. zw. *rasttag*. Jakoż drugiego dnia przed wieczorem zajeżdża przed dom ogromna bryka wojskowa w cztery konie, a za nią oficer i służący jego konno.

— Nikolaus v. Bayaky — zaprezentował się oficer po niemiecku.

Był to człowiek nie pierwszej już młodości, Węgier rodem i, jak się później przekonałem, człowiek bardzo dobrze wychowany. Sam mi opowiedział, że do austryackiego wojska wzięty był za karę r. 1848, a tylko zabiegom osób wpływowych zawdzięcza swe oficerstwo — inaczej długie lata byłby pozostał szeregowcem. Prowadził z Tarnopola do Lwowa pociąg, złożony z 29 wozów, napełnionych rekwizytami wojskowemi. Tabor wozów, z których konie wyprzągnięto, lokując je po stajniach chłopskich i dworach dwu części wsi, pozostawiono na bitym gościńcu, tuż przy karczmie. Strzegła go straż wojskowa. W tak zwanym „dolnym dworze“ ulokowano 20 koni pociągowych wraz z wachmistrzem, u mnie zaś, w „górnym dworze“ zakwaterował się oficer, trębacz, 4 konie pociągowe i 2 wierzchowe.

Porucznik Bayaky, jak rzekłem, był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, tož przegawędziliśmy czas do późnej nocy. Była to późna jesień; od dni kilku zbierały się widocznie śniegowe chmury, i naraz przed północą wszczęła się śniegowa zawierucha, pierwsza w tym roku. Gęsty, w dużych płatach śnieg, podymany strasznym wichrem, potworzył wnet ogromne zaspy. Miła rzecz podróżować w taką porę — myślałem, kładąc się spać. Naraz budzą mnie krzyki jakieś i ujadanie psów tuż przy stajni. Porucznik i ja, mniemając, że pożar wybuchnął, lub coś stało się nadzwyczajnego, ubrawszy się na prędce, wybiegamy do sieni. Burza i śnieżyca szalała na dworze. Mimo to słyszymy wrzawę i różnojęzyczne przekleństwa, bo każdy z żołnierzy był innej narodowości. Ktoś klnie po polsku i rusku, Węgier „basamani“, Czech „proklatuje“. Pytam, krzycząc, co takiego, lecz prawdopodobnie nie słyszano mnie, ponieważ głos idąc pod wiatr, niknął w szumie zawieruchy. Zjawia się wreszcie Hryniewiecki, mój *quasi*-ekonom, *factotum*, dodany mi przez ojca mego w rodzaju Mentora. Pan Michał Hryniewiecki, szlachcic chodaczkowy z Samborskiego, twierdził o sobie, że wszystko potrafi. W istocie potrafił, lecz najczęściej — popsuć. Otóż ów mentor zaraportował mi, że pan Benedykt Jałowicki, jadąc do mnie, ugrzązł z końmi i szarabanem na przepaścistej, do domu mego wiodącej drodze, więc począł dobijać się do stajni i, nie wiedząc, że tam żołnierze, rozkazywał, żeby ludzie szli wyciągać sanki z zamieci, a co najważniejsze, ratować klacz bardzo drogą, luzem idącą. Nadszedł wreszcie i sam Jałowicki, wyglądający jak św. Ruprecht, czy rodzaj św. Mikołaja, okurzony śniegiem.

— Zmiłuj się pan — rzecze do mnie z lamentem — poszlij ludzi, niech przynajmniej konie ratują. Jedna klacz, czysto angielskiej rasy, gotowa się przeziębić, bo to zwyczajnie rasowe, delikatne.

Hryniewiecki, pobudziwszy parobków, pospieszył z ratunkiem, a Jałowicki pozostał tymczasem w domu, ogrzewając się herbatą, którą zrobić kazałem. Pytam go, zkąd jedzie?

— Z Brzeżan, a raczej z Remizowiec — odpowiada — gdzie przenocowawszy, tu dążyłem, gdy mnie napotkała ta straszna zawierucha. I charty wiozę z sobą, ponowa się ściele, toż zapolujemy, a wiem, że tu lisów huk.

Po jakiej godzinie powrócili ludzie. Zabrawszy co było w wózku, pozostawili go w zamieci, a odprzągłszy konia, przywiedli go wraz z dwojgiem chartów.

— A gdzież angielka idąca luzem? — pyta Jałowicki z trwogą.

— Jeden koń był tylko.

— Oho! już po niej! Pewnie w rów lub wymulisko wpadła i zadusi się. Chodźmy szukać.

Poszli. Wracają po jakiej godzinie bez angielki. Jałowicki, jako nerwowy, począł rozpaczać na głośno, ręce łamał, przeklinał i tem podobne wyprawiał sceny. Ja mu na to:

— Wśród takiej zawieruchy i w noc niesposób jest szukać tej zaguby. Skoro się tylko rozwidni, ludzie moi pójdą szukać, i ręczę, że odnajdą pańską angielkę.

Poszliśmy spać. O świcie wchodzi do mnie starszy parobek, Pawło, dając znać:

— Oj jest, jest ta „wowkowa“ (oznacza konia lichej wartości, zdolnego chyba na przynętę dla wilków). Zajszła po za chliwy, taj strichu z hołodu wymykowała.

Budzę tedy Jałowickiego, oznajmiając mu, że jest zguba. Poszliśmy obaj — ja dla ciekawości, on z troskliwości o swoją angielkę.

— Toż to ta prześliczna pańska angielka? — pytam, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu na widok starej, jasnokościstej, dużej szkapy, podobnej raczej do szwabskiej niźli angielskiej kobyły.

— Ano ta, ta — odpowiedział opryskliwie — nie dziw, nie zna się pan na prawdziwej wartości takiej prawdziwie „stadnej“ klaczy. Bo to „głęboka“ a rozłożysta. Ze stada Mysłowskich pochodzi. Każdy koneser pozna i zapłaci dukatami, tylko ją wprzód odpaść muszę.

— Na cudzym owsie — dorzucił z cicha Hryniewiecki.

Oprócz jasnokościstości i wieku sędziwego, szkapa ta była obrazem wszystkich niemal błędów końskich — bo to i szpat w nogach, pipaki i t. p. dodatki.

Zawierucha śniegowa trwała trzy doby, zasypując całą okolicę i drogę, tak, iż o wyruszeniu wozów wojskowych nawet marzyć nie było można. Porucznik, nie mogąc wyruszyć w pochód nakazany, wyprawił pocztą raport pisemny do swojej komendy w Tarnopolu, czekając uprzątnięcia zasp śnieżnych na gościńcu. Obaj z porucznikiem zabijaliśmy nudy pogadanką lub grą w pikietę, Jałowicki zaś zaprzątał sobie czas bezprzestannem gadaniem. Najwięcej ubawiła nas jego niemczyzna. Cóż za dziwolągi wyplatał! Łgał swoją drogą jak najęty, stokroć jednak śmieszniej wyglądały te łgarstwa w tej prawdziwie urlopniczej niemczyźnie jego.

Ucichła wreszcie zawierucha. Śnieg wyżej łokcia pokrywał ziemię — ponowa i to wyśmionita. Mówi tedy Jałowicki:

— Jedziemy jutro o świcie na lisa.

— Dobrze — odpowiadam.

Porucznik, w chęci poznania polowania z chartami na lisa, towarzyszył nam w tej wyprawie. Przykrywszy charty derkami, ruszamy we trzech prostemi saniami. Jałowicki powoził, ja pilnowałem chartów, trzymając je na smyczy, porucznik, uzbroiwszy się w dubeltówkę, miał w danym razie strzelać do kuropatw, gdybyśmy stadko takowych napotkali.

— Pojedziemy na Płuchowskie pola, tam lis pewny — rzekł Jałowicki.

Pola wsi Płuchowa, a mianowicie do części Niezabitowskiego należące, graniczyły z polami Meteniowa. Położenie wzgórkowate i jak zwykle na gruntach iłowatych, w których deszcze lub śniegi topniejące głębokie wymulają jamy, miejscami wąwoziste. Jałowicki swem okiem sokolem gdzieś daleko dopatrzył myszkującego lisa. Począł się tedy zajmujący manewr kołowań, objazdów, umykań niby to w stronę przeciwną, lub skrywania się po za wzgórza, gdy lisiura ostrożny, bo szczwany, zobaczywszy zbliżające się sanie, zadarłszy kitę, umykał w przeciwną stronę. Lis, którego dojrzeliśmy, snać „bywał w Bywalicach“, bo dojrzawszy nas, pomknął ku lasowi.

— Nie pójdzie do lasu — mówi Jałowicki — skoro zajdzie za oną tam górę, znowu pocznie wyczekiwać. Wnet mu urządzę sztukę. Hodi jemu!

Powiedziawszy to, zaciął konie i co tchu pomknęliśmy naprzód, celem okrążenia onego wzgórza. Już widzimy zdala tego samego mykitę; myszkuje spokojnie, jak powiedział Jałowicki. Wszyscy trzej, a co najważniejsza Jałowicki powożący, nie pilnujemy koni, lecz z zapalczywością śledzimy każdy ruch lisa. Naraz ogarnia nas tuman śniegowy i z łoskotem, z końmi i saniami wpadamy w przepaść jakąś. Uderzenie było silne. Konie, sanie, charty, wreszcie my trzej jedną stanowimy kupę. Ja dziwnym trafem znalazłem się na spodzie jaru, pokryty derkami, słomą, psami i dwoma towarzyszami. Poczynam krzyczeć, wreszcie tchu mi brak pod takim ciężarem. Porucznik, najprędzej się wygramoliwszy, dzielnie przyłożył ręki do uprzątnienia zawad, a zarazem wyzwolenia mnie od uduszenia. Wygramoliłem się tedy i poczynamy we dwóch krzątać się około splątanych koni. Jałowicki jęczy w niebogłosy; okazało się, że złamał lub wywichnął sobie prawe ramię.

— A no, piękne polowanie! — mówię do porucznika — toż nas wiozłeś panie Benedykcie! — dodałem.

— Ach! ach! nie dziwcie się; to nie lis był, tylko czarownik, on to sprowadził na nas tę biedę — odpowiedział Jałowicki, mocno stękając.

Wpadliśmy w jedno z owych wymulisk, które zapalczywy Jałowicki, gdyby był baczył więcej koni jak lisa, ominąć był powinien. Wyciągnąwszy pokaleczone konie, saniami o złamanym dyszlu, złożywszy na nie jęczącego z bólu Jałowickiego, do domu wróciliśmy. Noc była ciemna. Niesposób posyłać do Zborowa po lekarza — musiałem tedy sam stać się na razie cyrulikiem. Żeby ramię nie spuchło, ordynowałem okłady ze śniegu. Hryniewiecki i olbrzymiego wzrostu stara Franciszka, kuchmistrzyni i ochmistrzyni mojego dworu, radzą parzenie gorącą wodą, w której tryny sienne się gotowały. Z tego wywiązała się dysputa lekarska. Jedni utrzymywali, że lepsze gorące okłady, drudzy, że zimne. Trzech żołnierzy moje dzieliło zdanie. Osobliwie *vor-*

reiter, Rusin z rodu, tem odezwaniem się pobił moich przeciwników:

— Raz w doma kobyła nasza zopsowała nohu, jakem staw obływaty jeju studenuju wodoju — taj dobre buło.

Świtem wyprawiłem Pawła do Zborowa po lekarza Brusta. Był to chirurg, leczył jednak i to z wielkiem powodzeniem także choroby wewnętrzne. Dobrze popołudniu otwierają się drzwi i wchodzi, zamiast Brusta, dobrze mi znany drożnik rządowego gościńca.

— A co tam za interes macie do mnie Antoni?

Antoni odpowiada zagadnięty:

— Pawło przyjechał do mnie i stał prosić, cobym przyjechał, bo tu ktoś rękę zepsuł, a ja, mówiąc niechwalący się, z dawien dawności ludziam znakomy, co nogi bydlętam naprawiawszy, dlaczegobym i bliźniemu, jak mówi ks. proboszcz, kości abo co nie ponaprawiał. Abo mnie to pierwszyna?

Wychodzę do Pawła.

— Cóżeś uczynił, kpie jakiś! — krzyczę. - Kazałem ci przywieźć doktora, a ty mi przywozisz rakarza, czy tam drożnika jakiegoś.

Na to Paweł, bełkocząc językiem (utrzymywał, że nie tylo z wódki, kilo z zimności):

— Taj czego pan się gniewają? Dochtora nie było w doma tom przywiózł ot Antona, a to prawikost po znakomości.

Wracam do pokoju. Antoni, zdjąwszy z siebie nowy, mocno cuchnący kożuch, począł, niby wodę pompując, w górę i w dół narabiać ręką Jałowickiego. W niebogłosy krzyczał pacyent przy tej weterynarskiej dyagnozie. Kostopraw począł głosić wynik swych badań.

— O, naj pan słuchają, cosik kłapie, rychtyk jak u konia pana pocztmistrza, co tak rok się spleczył. Najprzód naciągniemy rękę, a potem smarowanie z mydła, okowity i kamfory i staniemy (będziemy) parzyć trynami z siana.

Ostatnia ordynacya wywołała oznaki zwycięstwa u mojej kontrpartyi, zalecającej naparzanie. Antoni począł urządzać machinę do naprowadzenia w zwykłe miejsce ramienia, wyszłego ze stawu. Niezbyt skomplikowany a przecież ciekawy pomysłem ten przyrząd, przeto go w krótkości opiszę.

W odrzwiach pokoju, na drąg w poprzek umieszczony zadziano zwykłe koło od wozu. Do jednej ze szprych uwiązano sznur, którego wtórym końcem ująć miano rękę chorego powyżej dłoni. Zwolna, jak w studni wiadrowej obracając kołem, sznur okręcając się wokoło głowy kołowej, wyciągać miał wedle potrzeby rękę, by potem wolnem odwijaniem sznura wprowadzić kość w właściwe miejsce. Nie pozwoliłem na podobne torturowanie chorego, który na widok tych katowskich przyrządów, mimo dotkliwego bólu, ze strachu jęczeć przestał. Wziąwszy, jak to mówią, na odwagę, sam do operacyi przystąpiłem. Ująwszy mocno chorą rękę, wyciągnąłem takową, a drugą moją ręką pokierowawszy nieco, udało mi się dokonać tej niełatwej zresztą operacyi, której dobry skutek objawił się dość głośnem trzaśnięciem, co dowodziło, że kość zaszła w staw.

— I to je recht! — aplaudował Antoni — teper staniem maścić okowitką taj parzyć.

— Nie — odpowiadam.

— Ja, proszu pana, siwą krowę ksiądzowej...

— Niech sobie Antoni krowom robi co mu się podoba, a ludziom da pokój.

Uhonorowawszy Eskulapa reńskim i sporym kieliszkiem wódki, odprawiłem go.

Sprzątanie zasp z gościńca szło prawdziwie po niemiecku: *langsam voran*, a mnie i wieśniakom załoga wojskowa dotkliwie czuć się dawała, mimo, że porucznik pobrane prowianty dla ludzi i koni płacił dobrze i gotówką. Porucznik był zachwycony kwaterowaniem w domu moim, czemu doprawdy mocno się dziwiłem. Śpiżarnia moja wyglądała prawdziwie po klasztornemu — przed przybyciem kwestarza. Chudoż w niej było, chudo! Śniegi spadły tak olbrzymie, że niezawsze do Zborowa po mięso posłać było można toż karmiłem porucznika i kwaterających u mnie żołnierzy *modeste* leguminami.

Jakiż był zacny ten Węgier, a wesół przytem! We dnie obaj krzątaliśmy się około gospodarstwa, na którem się znał, lub urządzali polowanie na szczury i myszy, które nie wiem dla jakich przyczyn, trzymały się mojej śpiżarni.

— A gdyby tak zrobić obławę na te stworzenia?

— I owszem — odpowiedział porucznik — dostarczę pogonki.

Kierownictwo tą wyprawą objął porucznik. Na rozkaz jego stawiło się na ganku trzydziestu żołnierzy. W pobliżu domu były krzaki leszczynowe. Żołnierze, porobiwszy sobie miotły, stanęli szeregiem. W stajniach najwięcej było szczurów, więc tam rozpoczęły się łowy. Po wyprowadzeniu tak koni jak i bydła ze stajen, wyprzątnięciu wszystkiej słomy, jaka nawet na strychu była, cały ten budynek otoczono rodzajem wału śniegowego, stawiając przy wale tym co kilka kroków żołnierza z miotłą sporych rozmiarów. Porucznik i ja weszliśmy do środka z kilkoma żołnierzami, opatrzonemi w siekiery dla rozbierania podłóg i rydle w celu rozkopania mnóstwa nor, które szczury powykopywały. Jałowickiego z dwoma żołnierzami odkomenderował główny nasz dowódca na strych, ażeby szczury, uciekające po ścianach ku górze, bili lub na dwór wypłaszali.

Poczęła się tedy stukanina i odrywanie podłóg. Szczurów była hurma, toż niebawem poczęły się wynosić to dziurami to otwartemi drzwiami, a gdy ich nie ubito, na dwór się wymykały. Niektóre przeszły na strych. Wrzawa, śmiechy zawrzały jakby na maskaradzie. Na strychu niemniej gwarno. Żołnierze, uganiając za szczurami, czynili stukot po powale, deskami wyłożonej. Jałowicki, według zeznania żołnierzy, zachował się biernie w czasie tej obławy, oganiając się tylko sam przed uciekającą zgrają. Wtem słyszymy głos Jałowickiego:

— Gwałtu! cała hurma szczurów mię opadła! — i co tchu począł uciekać ku otworowi w powale zrobionemu, którędy zrzucano paszę dla inwentarza.

Powała w połowie była z desek, w połowie zaś chrustem wypleciona. Zatrzeszczało coś gwałtownie i ujrzeliśmy połowę postaci Jałowickiego, wymachującego nogami i chroniącego się łokciami przed spadnięciem, a krzyczącego w niebogłosy.

Wybuchnęliśmy głośnym śmiechem na ten widok, a żołnierze, będący na strychu, wyratowali niebawem Jałowickiego z tej, bardziej śmiesznej, niż groźnej pozycyi. Ledwie żywego, sprowadzono go na dół.

— Z ręką na temblaku — opowiadał, usprawiedliwiając się — niesposób mi było opędzić się zgrai szczurów, która, pędzona przez żołnierzy, szukała ratunku w ten sposób, że się na mnie wdrapywać poczęła.

Żołnierze twierdzili przeciwnie, że Jałowicki bez powodu przeląkł się szczurów.

Postępując tym trybem, braliśmy jeden budynek po drugim. Szczury, które na dwór się wymknęły, nie mogąc szybko uciekać, tonęły w grubej warstwie puszystego śniegu, lub w takimże wale padały od mioteł. Do późna wieczór trwała ta obława. Padło szczurów 128. Powtarzam raz jeszcze tę liczbę, ponieważ nigdy nie wyjdzie mi z pamięci. Żołnierze kwaterujący u mnie i słudzy moi najzawzięcej walczyli, mszcząc się za krzywdy i niespokojne noce na tych nieznośnych stworzeniach.

Jałowicki nie tyle mnie, ile porucznikowi wielce niemiłą wyrządził psotę. Porucznik nie zwykł był wcześnie wstawać z łóżka, ja zaś ze względów gospodarczych zmuszony byłem czynić to wczesnym rankiem. Wchodzę do stajni.

— Gdzie się podziała jedna para koni wojskowych pociągowych? — pytam.

— A toj czornyj pan — odpowiada żołnierz Rusin — z „profatynom“ (miało to znaczyć *Privotdiener*, czyli służący oficerski) do świta poichały sańmy z chartamy na polowanie.

— Czyżby porucznik zezwolił? — myślę sobie. — Żadną miarą, boć to konie rządowe, więc odpowiedzialność wielka.

Łatwo sobie czytelnik wyobrazi, jakiego kłopotu nabawiła mnie wiadomość taka. Co tu począć? Alež nie wrócą z polowania jeszcze, a porucznik wstanie i do stajni zaglądnie. Wracam tedy do pokoju, w którym stał porucznik, zagaduję to o tem, to o owem, chcącego wstawać zapewniam, że jeszcze wcześnie, a na dworze zawierucha. Godzina 8. — nie ma jeszcze Jałowickiego. Truchleję co to będzie. Nareszcie odetchnąłem. Wchodzi Jałowicki, z tryumfem rzucając na podłogę uszczute dwa lisy.

— A baczysz — mówi do mnie — nie z każdym człowiekiem uda się polowanie, chyba że pan porucznik ma „pech“, bo ot — dodał wskazując na rękę — dotąd mam ślad po nim.

Porucznik ubawił się opowiadaniem Jałowickiego, jak to on dopatrzył lisy, jak je podjeżdżał, jak je potem charty goniły i brały. Plastycznie to przedstawiając, użył ku temu dwóch krzeseł, mających przedstawiać charty, poduszka zaś, wyciągnięta z pod głowy porucznika, wyobrażała lisa. W najdrastyczniejszej chwili opowiadania, pochwycił Jałowicki poduszkę z takim impetem, jak chart „Sokół“ pochwycił lisa — rozdarł poszewkę i zasypał pokój cały chmurą pierza...

Uprzątnięto drogi nareszcie i wojsko opuściło wieś. Porucznik na odjezdnem niemal ze łzami w oczach żegnał mnie i ubogą strzechę moją, prosząc, ażebym koniecznie odwiedził Węgry i jego. Zaproszenie porucznika było widocznie w złej chwili wyrzeczone, gdyż w dwa lata później, w r. 1857. wzięty w kamasze, zwidziłem mimowoli Węgry, lecz nie mogłem dostać się w strony, w których Mikołaj Bayaky mieszkał.

W zimie, gospodarz, choćby najpilniejszy, zawsze znajdzie wolną chwilę do polowania. Jeździliśmy tedy dość często z Jałowickim; nauczony jednak doświadczeniem, sam końmi kierowałem. „Co zając to mój, co lis to twój“, taką zawarliśmy ugodę z Jałowickim. Jednakowoż za droga to była dla mnie zabawka, żywić, i to dobrze, dwoje chartów i parę koni schudzonych i starych. Stare konie wogóle, to już chyba tylko na cudzym owsie odpasać się opłaci. Pchaj ile wlezie, a zawsze chude i chude.

Pewnego dnia mówi mi Jałowicki:

— W tej okolicy nie ma już lisów, konie moje niezgorzej się odgryzły (odpasły), chyba pojadę.

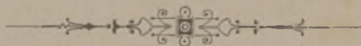
— A gdzie? — pytam.

— W stronę ku Lwowu. Mam tam interes, sprzedam może konie, a wytchnę nieco i w Kamienopolu. Ja w zimie właściwie nigdzie stale nie przebywam. Ot, tak, jadę i po drodze, to we dworze, to u księdza przenocuję, tam popasam i świtem ruszam w drogę, a raczej w pola, łapiąc lisy. Zeszłego roku od października do marca złapałem tym sposobem 30 lisów, nie licząc zajęcy. Skóry sprzedaję, zarabiając niezły grosik.

Zaproponował mi, żeby jechać razem. Do domu nie była mi pora jechać jeszcze, lecz, ciekawy tych jego wędrownych łowów, przedsięwziąłem sobie towarzyszyć mu o jaką milę za Złoczów. Wózek swój pozostawił u mnie, wziąwszy sanki, do których wprzągł konia pociągowego, podczas gdy owa angielka szła luzem. Ja saniami wiozłem charty. Rozumie się samo przez się, że podróż ta, aż do dróg rozstajnych, gdzieśmy się pożegnać mieli, moim sumptem się odbywała, gdyż Jałowicki pod względem płacenia za siebie był niedomyślnym. Przenocowawszy w Złoczowie w pierwszym na on czas hotelu żydowskim, daleko przed świtem ruszyliśmy gościńcem ku Lwowu. Gościniec ten, jak wiadomo, wiedzie północnym stokiem łańcucha gór, dość stromych i skalistych, zwanych Woroniakami, a wijąc się wzgórkami, przepiękny daje widok na szeroką równinę, urozmaiconą czerniejącemi w dali siołami i lasami. Równina jest celem wędrówki lisów gór złoczowskich i brzeżańskich. Ciągną one tam w zimowej porze za żerem, osobliwie gdy obfitsze spadną śniegi. Ilekroć jechałem zimą owym gościńcem, zawsze gdzieś daleko na równinach lub na górach w pobliżu lasu napotykałem myszkujące lisy. Podczas tej podróży Jałowicki bezprzestannie wodził okiem po okolicy w dal.

— Jest! — zawołał raptem.

Zbaczam więc końmi z gościńca, a sanki Jałowickiego, któremi jechał mój chłopak, pozostały na gościńcu z obowiązkiem czekania nas we wsi Jasunowie. Jałowicki, muszę przyznać, objeżdżał lisa znakomicie, to też po niewielu zachodach uszczuliśmy mykitę. Mnogość lisów owego roku była wielka. Tędy owędy skręcając, do wieczora uszczuliśmy trzy lisy. Sukces ten kusił mnie bardzo, ażeby jeszcze dłużej Jałowickiemu towarzyszyć — bo łowy z chartami, to namiętność jak pijaństwo, — lecz jakoś zwyciężyłem pokusę. Pożegnałem Jałowickiego, wołając *Appage satanas!* i wróciłem do domu.



Hodowla i tresowanie wyżłów.

Na zeszłorocznej wystawie psów w Paryżu, p. E. Boulet z Elbeuf, za przedstawioną partyę wyżłów otrzymał pierwszą nagrodę honorową za psy, takąż nagrodę za suki, wielki medal złoty za hodowlę i nagrodę specyalną za najpiękniejszy pomiot psów wyżłów w całej Francyi. Tak wybitne odznaczenie skłania nas do zaznajomienia czytelników z hodowlą p. Boulet, podając jego list, który nadesłał do redaktora jednego z pism rolniczych francuskich. Oto treść tego listu:

Ponieważ żądasz pan niektórych objaśnień o mojej hodowli, opiszę panu dokładnie, co robiłem, by ulepszyć moją rasę wyżłów.

Przedewszystkiem powiem panu, co uważam za typ wyżła francuskiego, według tych paru setek sztuk, które się u mnie wylęgły i które wychowałem. Jest to pies o charakterystycznym wyglądzie; czy ma włos długi, czy twardy, powinien zawsze posiadać duże wąsy i brwi. To go charakteryzuje.

Nie mogę wreszcie dać lepszego portretu wyżła, nad opis zrobiony przez p. Boussenard, który w swem dziele o rasach psów francuskich, tak maluje swego starego „Marco“: „Brodaty, wąsaty, z potarganym włosem, pod gęstemi brwiami posiada oczy poczciwe i pełne inteligencyi.“

Wyżeł ma 52 do 58 centymetrów wysokości i nie rości sobie żadnej pretensyi do eleganckiego wyglądu; lecz pomimo swego pozoru surowego, jest doskonałym sługą w całem tego słowa znaczeniu, charakteru łagodnego, a wierność jego niewzruszona; jest silny i zdolny do każdego rodzaju polowania: na polach, w lasach, bagnach.

Piętnaście lat nadzwyczaj starannej selekcyi doprowadziły mnie do posiadania rasy jednolitej, a hygieną i pewnemi szczególnemi staraniami osiągnąłem powodzenie w mojej hodowli. Powodzenie w chowaniu szczeniąt da się zapewnić temi przepisami: czystość wzorowa, żadnego robactwa, dużo powietrza, swoboda zupełna.

Co do hodowli młodzieży, trzymam się zasady, by szczenięta, które choćby najdrobniejszą tylko wadę miały — niszczyć. Do suki przysadzam nie wyżej nad trzy szczeniaki. Później do reprodukcyi używam tak psy jak i suki tylko bez wad, wyborne do polowania i doskonale wytresowane. Hoduję często pięć lub sześć psów do dwóch lat życia, zanim wybiorę z pomiędzy nich jednego na reproduktora. Niech to świadczy, jak wielką wagę przywiązuję do selekcyi.

By uniknąć nagromadzenia dużej ilości psów, które zawsze jest szkodliwe w hodowli, wszystkie szczeniaki zaraz po odsadzeniu odsyłam na wieś, po dwie lub trzy sztuki, do wybranych przezemnie ludzi, którzy się niemi opiekują.

Oto co radzę przedsiębrać w hodowli szczeniaków; rady te oparte są na dwunastoletniem doświadczeniu:

Jeśli oczy szczeniąt są zaropione, przecierać je olejem rycynusowym.

Jeśli robactwo pojawia się w odchodach, zadać zaraz w wieczór 5 do 10 centigramów, stosownie do wieku, odwaru piołunu w mleku, a nazajutrz rano dać olej rycynusowy na przeczyszczenie.

Jeśli apetyt jest słaby, dawać codzień łyżeczkę wina chinowego.

Jeśli zwierzę jest anemiczne, co poznać można po bladości dziąseł, dawać codziennie i stosownie do wieku 150 do 500 gramów mięsa surowego, pociętego w drobne kawałki i maczanego w oliwie. Używanie mięsa jest zawsze doskonałem w żywieniu młodych psów.

Od dwóch do dziesięciu miesięcy, każdodziennie, w jakiej zupie lub rosole, dawać należy łyżeczkę mąki kostnej (fosforan wapna). Od dwóch do piętnastu miesięcy dawać w ciągu miesiąca, przez piętnaście dni po sobie, co rano łyżeczkę następującej mięszaniny:

Arsenianu sody 10 centigramów.

Wody destylowanej 300 gramów.

Pomieszczenie powinno być bardzo czyste, bardzo suche i podściółka codzień zmieniana.

Co się tyczy układania (tresowania) wyżłów, by pies był mądry i posłuszny, trzeba go nauczyć:

1. Siadać, gdy się powie *siadać!* i nie pozwalać mu wstawać, dopóki się nie rozkaże.

2. Kłaść się (głowa między nogami przedniemi, dolna szczęka na ziemi), mówiąc doń i podnosząc rękę: *leżeć!* i nie pozwalać mu wstawać, póki się nie rozkaże; w ten sposób, po pewnym czasie, wyżeł kładzie się za podniesieniem ręki z jakiejkolwiek odległości.

3. Iść z tyłu, wołając: *za nogą!* i pokazując ręką, gdzie się ma umieścić, by go nauczyć chodzenia z tyłu na sam ruch ręki.

4. Iść naprzód, mówiąc: *pójdź dalej!*

5. Iść na prawo, robiąc ruch odpowiedni prawą ręką.

6. Iść w lewo, robiąc ruch lewą ręką.

Chcąc, by tropienie było żwawe i czujne, uczyć go:

7. Przybiegać do pana natychmiast skoro się tylko wymieni nazwisko psa i słowo: *tu!*

8. Przypadać do ziemi z chwilą, gdy zerwie się zwierzyna i nie pozwalać mu się podnosić jak na rozkaz.

9. Kłaść się zupełnie na odgłos strzału i podnosić na rozkaz.

10. Aportować z pola lub wody na rozkaz, który otrzyma: *szukaj — apport!* wszelką zwierzynę, którą powinien oddać siedząco swemu panu, na rozkaz: *daj!*

11. Gdy się poluje z dwoma psami, potrzeba, aby, gdy jeden wystawia, drugi wystawiał za nim.

Maść wyżła czystej krwi powinna być kasztanowatą z pewnem cieniowaniem i biała, mniej lub więcej czysta. Pomięszania tych dwóch kolorów może być dowolne. Barwa czarna i ruda są złe.

Kolory najbardziej szlachetne są: Dla wyżłów o włosie długim: kasztanowaty z białym lub bez białego; u wyżłów z włosem twardym, ciemno-popielaty z centkami kasztanowatemi lub jasno-popielaty z takiemiż centkami. Jako wskazówkę podaję tu opis cech wyżłów obu odmian.

Cechy wyżłów o długim włosie.

Głowa: zarośnięta, pysk długi i szeroki z wystającemi dużemi wąsami.

Oko: inteligentne i dobre, brwi gęste.

Nogi przednie: mocne, muskularne, pokryte włosem długim, sięgającym aż do dołu.

Nogi tylne: udo długie, przeguby niezbyt proste.

Uszy: zwieszone, nieco zaokrąglone, pokryte włosem gładkim i nieco kędzierzawym.

Nos: nozdrza rozwarte.

Szyja: nieco długa.

Pierś: szeroka i głęboka.

Ogon: prosty, pokryty włosem gładkim.

Włos: jedwabisty, gładki lub kędzierzawy.

Maść: ciemno-kasztanowata z białem lub bez, nigdy czarna.

Cechy wyżłów o twardym włosie.

Głowa: długa, pokryta włosem twardym, takież wąsy i brwi, pysk krótki.

Oko: duże, odkryte, bez wyrazu.

Uszy: średniej wielkości, spłaszczone, osadzone nieco wyżej, lekko włosem pokryte.

Nos: zawsze koloru brunatnego.

Szyja: długa, bez podgardla.

Łopatki: długie, skośne.

Boki: zaokrąglone.

Pierś: głęboka, nie bardzo szeroka.

Nogi przednie: bardzo proste, muskularne, pokryte twardym, krótkim włosem.

Nogi tylne: udo długie i dobrze rozrośnięte.

Ogon: prosty, pokryty twardym włosem.

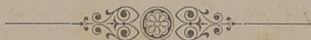
Maść: ciemno-popielata z centkami kasztanowatemi lub jasno-popielata z takiemiż centkami, kasztanowata, biała z kasztanowatem.

* * *

Przed dwudziestu laty wyżły moje o włosie długim były kasztanowate i białe. Chcąc zawsze mieć jednego z sobą, gdym polował w lesie z gończemi, i zauważywszy, że biały włos psa przy moich nogach, przeszkadza mi w strzelaniu, starałem się wyhodować maść kasztanowatą ciemną. Po dziesięciu latach zawodu doszedłem wreszcie do jasnych kasztanów, a od lat ośmiu mam już kasztany ciemne.

Mam sześć suk: Myra, Polka, Girofla, Vesta, Dalila i Nina; trzy psy: Marco, Nero i Diavolo, które mają zaledwie parę białych włosków na skórze, prawie nie dostrzegalnych, i centkę białą pod piersiami. Swoją drogą zdarza się czasem, że z pomiotu sześciu do dziesięciu szczeniąt, jedno lub dwoje mają duże łaty białe, przypominając tem swych przodków.

Chcąc otrzymać kolor kasztanowaty, musiałem niekiedy łączyć brata z siostrą i dlatego to może kilka razy otrzymywałem młodzież, pozostawiającą nieco do życzenia pod względem budowy kości i piersi. Ale wada ta znika w następnych pokoleniach, a innej rady na to nie ma, wiadomo bowiem, jak o dobre reproduktory trudno.



KRONIKA.

Na ptactwo błotne nie wiele tego roku może myśliwy polować. Zewsząd donoszą nam, że kszyków bardzo mało, a dubeltów także niewiele. Toż i krzyżówek mniej się wywiodło, niż można się było po pięknym czasie lęgu spodziewać. Nie dziwota, skoro na takich błotach, które z roku na rok jako bezdenne słynęły, można było w sierpniu kurz piętami wzbijać! Może być, że deszcze, na które się teraz zaniosło, staną się wabikiem dla długodzióbych brodźców, tak, że w jesiennych przelotach będą się w większe stadka gromadziły i przysporzą jeszcze myśliwemu przyjemności, której mu posuszne lato odmówiło.

Rzecz szczególna, że mimo pięknego i dla lęgu przepiórek tak przyjaznego jak rzadko lata, także liczba i tych ptaków nie jest tak znaczną jak się przed żniwami spodziewano. Miejscami strzelają dość przepiórek, lecz donoszą nam i o takich okolicach, gdzie ich prawie nie ma.

Niedźwiedzie. W rewirze kameralnym Jawornik, pomocnik lasowy Z. Pakoszewski, idąc płajem z połoniny Stajki ze strażnikiem lasowym Nykołą Skryblakiem, spotkali niedźwiedzia, którego dwoma celnymi strzałami udało się im powalić. Jest to już drugi niedźwiedź ubity r. b. w tych lasach.

W okolicach Warszawy, jak pisma tamtejsze donoszą, można się spodziewać tego roku dość zwierzyny. Jest szczególniej wielka obfitość zajęcy, natomiast kuropatw bardzo mało. Ubiegła śnieżna zima spowodowała wytępienie ptactwa w ogóle, a zwłaszcza kuropatw. Właściciele większych przestrzeni w okolicach Warszawy, pragnąc w majątkach swoich zaprowadzić polowanie racyonalne, postanowili łowów na kuropatwy nie przedsiębrać wcześniej jak w połowie września.

Tir aux pigeons. Dnia 10. i 11. sierpnia odbyły się w Warszawie znowu strzelania do gołębi i odznaczały się niezwykłem ożywieniem. Najlepszym ze strzelców, który zabrał przeważną część nagród, stanąwszy do kilku rozmaitych konkursów, okazał się p. A. Biesiekierski.

W piątek d. 23. sierpnia odbyło się dalsze konkursowe strzelanie do gołębi, w którym wzięli udział wyłącznie strzelcy, którzy nigdy i nigdzie nie otrzymali nagród za tego rodzaju strzelanie.

Dla strzelców zaś, znanych już ze swej umiejętności w sztuce strzelania, ustanowiono bardzo trudne warunki, jak np. jaknajdalsza meta i prawo strzelania tylko z jednej lufy.

Wynik był następujący:

W partyi o 3 gołębie na odległość 27 metrów strzelali pp. Popławski strzał 1, baron Egert 6, Malczewski 5, Rajski 1, R. W. 2, hr. Morsztyn 3, Karasiński 1, Kelchen 2, Lilpop 1, oraz Małychin syn 3.

Pierwszą nagrodę przyznano jedenastoletniemu Mikołajowi Małychinowi, drugą br. Egertowi, trzecią p. Malczewskiemu, wreszcie czwartą p. R. W.

W następnym konkursie o 3 gołębie dali: pp. Kelchen strzałów 3 (pierwsza nagroda), hr. Morsztyn 4 (druga nagroda), Popławski 5 (trzecia nagroda) oraz Małychin syn (czwarta nagroda).

W ostatnim o jednego gołębia, pp. R. W. strzałów 4, (nagroda pierwsza), Malczewski 3 (nagroda druga), hr. Morsztyn 4 (trzecia nagroda), br. Egert 3 (nagroda czwarta), oraz pp. Krasiński 0, Małychin syn 1, Rajski 1, Kelchen 0 i Popławski 0.

Z przyczyny braku gołębi oraz kul szklanych strzelanie zakończono o godzinie 6. wieczorem. Następne strzelanie odbyło się dnia 28. sierpnia.

W Czechach, które, jak wiadomo, odznaczają się bogactwem kuropatw, będzie ich tego roku mniej, niż po inne lata. Wielkie szkody w stadkach kuropatwich narobiły niezwykle częste i gwałtowne burze w maju i w początkach czerwca, niejednokrotnie połączone z gradem. Drugi zaś lęg kuropatw jest zazwyczaj na takie straty to od aury to od ręki żeńców i kosarzy narażony, że nie można już nań wiele liczyć. Zajęcy spodziewają się dużo.

Młode lwięta. W zwierzyńcu cesarskim w Schönbrunn urodziło się z końcem lipca sześć lwiątek, które mają tak wielki apetyt, że wkrótce 8 mamek — suk, zdołały w zupełności pozbawić pokarmu. Zarząd menażeryi dopiero ogłoszeniami we wszystkich dziennikach wiedeńskich poszukiwał suk, zaopatrzonych w pokarm, i upraszał o jak najszybsze zgłoszenia, gdyż w przeciwnym razie młodym lwiętom groziła śmierć głodowa.

Jeszcze druga lwica w Schönbrunnie ma do kilku tygodni zostać matką. Wtedy już do reszty zabraknie mamek.

Wojskowe towarzystwo myśliwskie. W Petersburgu zostało zawiązane na mocy specyalnego statutu, wojskowe Towarzystwo myśliwskie w celu wyrabiania wśród oficerów ducha odwagi, wytrzymałości i inwencyjności, ażeby wytworzyć kontyngens, odpowiadający wymaganiom pułkowych naczelników oddziałów myśliwskich i dać oficerom możność zajmowania się ekonomicznem i racyonalnem polowaniem za możliwie niską opłatą.

Rogacz z igłą w sercu został niedawno temu ubity w kniei Hammer, koło Driesen w Niemczech. Igłę tę znaleziono przypadkiem przy rozcinaniu serca, gdyż kozioł był zresztą zupełnie zdrów i należycie odżywiony. Skąd się tam igła wzięła? Czy jakie dziewczę chciało zamordować rogacza, czy fizyolog robił doświadczenia nad kurczeniem się muskułu sercowego?

W szponach tygrysa. W Hodenmauth, w Czechach, w menażeryi wędrownej Kludskiego, zdarzył się straszny wypadek. Pogromicielce zwierząt, Bercie, wchodzącej do klatki, w której miało się odbyć przedstawienie z lwem i tygrysem, zsunął się z nogi pantofelek, a gdy schyliła się, aby go podjąć, przyczajony w kącie tygrys rzucił się na nią, pochwycił zębami za szyję i zaczął szarpać pazurami ciało nieszczęśliwej. Dozorcy i właściciel byli na razie ubezwładnieni przerażeniem, wkrótce jednak nadbiegli z pomocą, zbrojni w żelazne drągi, ale rozwścieczone zwierzę powlokło ofiarę w drugi kąt klatki i tutaj zabrało się do krwawej uczty. Po długiej walce z krwiożerczym zwierzęciem, udało się nakoniec wyrwać drgające ciało pogromicielki ze szpon tygrysa, w kilka jednak minut pogromicielka wyzionęła ducha.

Najlepszy strzelec. Na urządzonym w Gracu konkursie strzeleckim, w którym brało udział przeszło 1200 wybornych strzelców, pierwszą nagrodę zdobył Kazimierz hr. Krasiński ze Starej wsi. Zwycięzca strzelał z pożyczanego sztucera. Zdobyta nagroda składa się z wielkiego złotego medalu z portretem cesarza Franciszka Józefa, 8 srebrnych medali pamiątkowych, puharu srebrnego i prześlicznej, artystycznie wykończonej szkatułki, zawierającej 200 srebrnych guldenów austryackich.

Skonfiskowane raki. Na targu wiedeńskim władze magistrackie skonfiskowały u wielu handlarzy z Galicyi ogromną ilość raków, niemających przepisanej miary, jakoteż samiczki ułowione w czasie zabronionym. Handlarze nasi, pomimo tłumaczenia się nieznajomością utawy ochraniającej raki, a w Galicyi nie przestrzeganej, skazani zostali na grzywny.

Wytępianiem drapieżnych zwierząt w Algierze, które w wielu okolicach jeszcze grasują, zajmuje się żywo rząd francuski. Od lat kilkunastu naznaczał on mniejsze lub większe nagrody: za zabicie lwa 40—60 franków, za panterę 15 fr., za hyenę i szakala 5 fr. itd. W ten sposób obliczyć się dało, że w ciągu 12 lat od r. 1873—1884. wytępiono 30.483 zwierząt drapieżnych, mianowicie 202 lwów, 1214 panter, 1882 hyen i 27185 szakalów.

Nowy sport myśliwski wynaleźli sobie Anglicy w Indyach, polując na... węże. Namiętność tę przenieśli tego roku także do Lotaryngii, w okolice Metzu, gdzie w skutek tegorocznego lata ciepłego tyle wężów i żmij się rozmnożyło, że zapuszczanie się w lasy staje się niebezpiecznem. Niektórzy chłopi miejscowi zdołali w ciągu jednego dnia łowić i ubijać po 50 żmij, ubiegając się o nagrodę, którą rząd za tępienie tych jadowitych gadów naznaczył. Otóż Anglicy i Angielki, bawiący w tamtejszych okolicach, szli o lepsze z miejscową ludnością, polując na węże i żmije.

Kolonia dydelfów. Dydelf amerykański, czyli opossum, workowiec znany także pod nazwą szczura Eneasza *(Dydelphus dorsigera)*, zaczyna być w całej Ameryce przedmiotem dość żywego handlu, gdyż delikatne mięso jego, o właściwym sobie zapachu, stało się przysmakiem Amerykanów. *Baked 'Possum and 'Tatoes*, czyli mówiąc po polsku pieczone opossum z kartoflami, zaczyna się coraz częściej pojawiać na stołach amerykańskich. Szczególniej do Waszyngtonu sprowadzają wiele tej zwierzyny z południa i płacą po dolarze a nawet i więcej za sztukę. Dało to powód niektórym fermerom, że podobnie jak we Francyi królikarnie, zaczęli tworzyć kolonie dydelfów, przyswajając i rozmnażając je w niewoli. Najznaczniejszą taką kolonią jest dydelfiarnia p. Trockmortona w Georgii. Liczy ona 800 oswojonych i panu swemu z psią wiernością uległych rodzin dydelfich. Mają one swój oddzielny park, gdzie wolno po drzewach łażą, a widok tego parku, szczególnie w porze południowej, jest jedynym w swoim rodzaju. Zdaje ci się, że na wysokich drzewach widzisz jakieś olbrzymie gruszki, jabłka czy śliwki, a to są dydelfy, które wiszą na swych ogonach, okręconych o gałęzie i śpią w tej pozycyi. Skoro jednak zbliża się czwarta godzina popołudniu, o której dydelfom rzucają karmę, zmienia się od razu fizyognomia parku. Z torb samic wyłażą małe dydelfki i igrają po gałęziach, a skoro dzwon farmy się odezwie, wskakują do swego ukrycia i razem z matkami i staremi dydelfami spieszą do jadła. Jadło jest zresztą wcale nie kosztowne; rozmaitego rodzaju odpadki, których już ani bydłu ani owcom dać nie można, pożerają dydelfy chętnie i dlatego hodowla ich nie rujnuje wcale fermera.

Gołębie w dziennikarstwie. Podczas ostatnich regat frankfurckich, *Frankf. Ztg.* spróbowała pierwszy raz użyć gołębi pocztowych do zakomunikowania rezultatu wyścigów. Próba wypadła świetnie. Wszystkie siedm gołębi przybyły na miejsce, a najszybszy z nich już w minutę po wysłaniu. Dla ostrożności wysłano jeszcze do redakcyi sprawozdanie dorożką, ale współpracownik, który je przywiózł, zastał je już w drukarni złożone. Gołębie tedy, posyłane na niezbyt odległe przestrzenie, tak, iżby nie mogły się zabłąkać, mogą i w dziennikarstwie oddawać ważne usługi.

Jaskółki. Płaczcie poeci!... Najlotniejszy z ptaków, idąca na wyścigi z zefirami jaskółka, ów idyliczny współlokator strzech wieśniaczych — pociągnięty zostanie do obowiązkowej służby wojskowej, w miejsce niedość chyżych gołębi!

Myśl ta, poddana francuskiemu sztabowi, podobała się bardzo i wydelegowano do Roubaix kapitana Degouy, aby podjął odpowiednie próby z tamtejszym hodowcą jaskółek, Janem Desbouvrie, który od lat 36. uprawia z powodzeniem ten sport osobliwy.

Mając lat 10, powziął Desbouvrie postanowienie przyswajania jaskółek, poczytywanych dotąd za najoporniejsze ze wszystkich ptaków. W rok potem widywano malca, chodzącego po mieście z przyboczną gwardyą jaskółek, z których jedne szybowały dokoła, inne siedziały na głowie i ramionach swego trenera. Obecnie doszedł on do tego, że żyje z temi ptakami na poufalszej stopie, niż gospodyni wiejska z kwokami.

Pan Desbouvrie twierdzi, że jaskółka odlatuje na zimę nie dlatego, aby zgoła nie znosiła francuskiego klimatu, ale dlatego, że jako owadożercza, nie znajduje pokarmu, gdy promienie słoneczne nie ogrzewają dostatecznie powietrza. Dajcie jaskółce przytułek i odpowiedni pokarm, a odlatywać nie będzie i średnio-ostre powietrze zniesie wybornie.

Pan Desbouvrie nie prowadzi domowego lęgu, ponieważ nie widzi w tem celu; wybiera on z gniazd pisklęta, daje im stosowną edukacyę i trenuje. Otrzymuje na takiej hodowli rezultaty świetne, jak sztabowa ankieta dowodnie przekonała. Wynalazł nawet odpowiedni pokarm na zimę, lecz przygotowanie jego trzyma dotąd w sekrecie.

Trzydzieści lat hodowli daje dowód, że Desbouvrie nie przesadza. Całe pierwsze piętro swego domu w Roubaix zamienił on na jaskólnik. W chwili wizyty sztabowych delegatów znajdowało się w olbrzymiej sali 20 jaskółek zupełnie przyswojonych, przylatujących na wezwanie do ręki swego pana i biorących z niej pokarm. Z tej liczby 20 ptaków 12 tresowanych było do lotu i powrotu, ośm zaś nie wypuszczało się na wolność, jako przeznaczonych na sprzedaż amatorom. Każda z jaskółek podróżujących miała na nóżce przywiązany kawałek włóczki, której kolor oznaczał stopień skończonej tresury i wiek ptaka.

Dla zrobienia próby wypuścił hodowca na wolność czterech swoich pupilów. Czas był bardzo wietrzny i padał deszcz ulewny, więc warunki próby bardzo ciężkie, zwłaszcza dla bardzo młodych, z umysłu tak wybranych ptaków, z których najstarszy liczył 25 dni życia.

Jaskółki, puszczone na wolność, obleciały kilkakrotnie dom, poczem znikły w przestrzeni. Najsłabsza wróciła po 25 minutach lotu, trzy inne bawiły półtory godziny dłużej, mimo ulewy.

W kilka dni później robiono próby szybkości lotu. Doskonale już wytresowaną jaskółkę zawieziono w klatce do Paryża i tam puszczono na wolność. Wróciła ona do Roubaix w 90 minut; odległość zaś ta w linii powietrznej wynosi 250 kilometrów.

Rozważywszy takie rezultaty prób i tę ważną okoliczność, że drobnej jaskółki nie zgoni karabinowa kula, sztab francuski przyszedł do przekonania, że mają one nieskończoną wyższość nad gołębiami jako pocztowi posłańcy i postanowił założyć jaskólniki na Mont-Valérien i na Montmartre.

Ciekawość indyków, znana przyrodnikom i chodowcom drobiu, oddała niedawno niemałą usługę. Kardynał książę arcybiskup Ołomuńca, hr. Fürstenberg, podczas przechadzki w okolicach zamku swego, zgubił

najkosztowniejszy ze swoich pierścieni — pierścień biskupi. Arcybiskup na razie nie spostrzegł zguby, zauważył ją dopiero później i wnet zarządził jak najściślejsze poszukiwania, lecz nadaremnie; przetrząśnięto nawet pokoje arcybiskupa, lecz bez skutku. W kilka dni później zauważono szczególne zachowanie się indyków domowych. Zbierały się one codziennie na pewnym punkcie przeznaczonego dla nich trawnika i z trudnością pozwalały się ztamtąd odpędzać. Stały kołem, wpatrzone w ziemię, nawołując się głośno wzajemnie. W końcu jeden z lokajów arcybiskupa zauważył te sejmy indycze, a zaciekawiony wsunął się między skrzydlate grono i odkrył na trawie iskrzący się pierścień, który budził takie zajęcie się w indykach. Cenną zgubę zaniósł lokaj niezwłocznie swemu panu, który z wielkiem zajęciem słuchał szczegółów znalezienia klejnotu.

Żmija w gardle. Straszny i niebywały dotychczas wypadek zdarzył się w goryjskim powiecie, niedaleko Tyflisu, w majątku ks. Gedewanowa. Podczas sianokosów jeden z robotników, po zjedzeniu obiadu, położył się na sianie i zasnął. Nagle poczuł w gardle jakieś łechtanie, a gdy się obudził, ujrzał z przerażeniem żmiję, która w połowie dostała mu się do gardła. Schwyciwszy wystającą część żmii, chciał ją z gardła wyciągnąć, lecz żadną miarą nie mógł tego uczynić. W tym stanie zawieziono nieszczęśliwego do stacyi Gori, a z tamtąd do Tyflisu, lecz w drodze zmarł w wagonie.

Alkohol ma własność ożywiania ryb, które pozostawały nawet dosyć długo bez wody. Tak n. p. dwa karpie rzeczne, zamknięte w pudełku przez cztery godziny, zdawały się zupełnie uśpione, pomimo ponownego wpuszczenia do wody; ożyły jednak, gdy wlano im do pyszczków po kilka kropel tęgiego spirytusu. Zasługuje na uwagę szczegół, iż doświadczenia, czynione na innych gatunkach ryb, nie dały analogicznych rezultatów. Alkohol ożywiał wprawdzie flądry, lecz bardzo słabo, na łososie zaś nie działał wcale. *Revue de sciences naturelles*, która te szczegóły podaje, przypuszcza, iż jedynie karpie, na zasadzie jakiejś szczególnej własności ustroju, są tak czułe na alkohol.

Basen kąpielowy dla psów został urządzony i otwarty przy jednym ze zakładów kąpielowych w Stutgardzie. Składa się on z właściwego basenu do kąpieli czworonogich gości, następnie z pokoju, w którym służba psy myje i czesze, wreszcie z poczekalni, która, jak zapewnia właściciel zakładu, będzie ogrzewaną w zimie. Cezary i Sułtany, Minki i Dyany stutgardzkie, bez różnicy przekonań politycznych, pochodzenia i stanowiska towarzyskiego ich właścicieli, mogą nowy zakład odwidzać i podobno są bardzo zadowolone z tego, iż nareszcie uczyniono zadość ich potrzebom. Bądź co bądź, pomysł urządzenia zakładu kąpielowego dla psów jest bardzo oryginalnym.

Z dykteryjek myśliwskich. Przebywałem raz na letniem mieszkaniu u pewnego leśnego na Litwie. Był to człowiek rzetelny i rzadki myśliwy z powodu, iż wbrew zwyczajowi powszechnemu między ludźmi jego fachu, nigdy w życiu nietylko kłamstwem ust swoich nie splamił, ale nawet najmniejszej przesady w opowiadaniach myśliwskich się nie dopuścił.

Lubiłem go bardzo za ten przymiot i często całemi dniami, gdy pogoda sprzyjała, zawiesiwszy flintę na plecy, włóczyłem się z nim po lesie, którego on z obowiązku musiał dozorować...

Oto, co mi raz wśród takich wędrówek opowiadał:

— Pewnego razu — mówił — zmęczony całodziennem chodzeniem, powróciłem do chaty, rozpaliłem na kominie ogień i zjadłszy kolacyę, położyłem się spać. Nie wiem, czy dlatego, że było jeszcze dość wcześnie, czy też z jakiej innej przyczyny, lecz zasnąć nie mogłem i myśląc o swojej biedzie, wpatrywałem się w ogień, wesoło buchający na kominie. Wtem, gdy ja sobie tak leżę, śliczny ogromny lis wskoczył nagle do izby...

A zapomniałem powiedzieć, że będąc już wdowcem, mieszkałem sam jeden i miałem przy sobie tylko kilka psów... Przez zrobiony w tym celu otwór w drzwiach, wchodziły one i wychodziły kiedy im się podobało. Przez ten sam właśnie otwór wskoczył teraz lis i rozejrzawszy się ciekawie po izbie, podbiegł do ognia i usiadł na tylnych łapach. Żałowałem bardzo, że jak na nieszczęście, żadnego z mych psów nie było w chacie, ale, założyłbym się iż lis wiedział o tem i dlatego przyszedł. Rachując, iż lada chwila który z nich nadbiegnie i uchwyci go za kark, by go nie przestraszyć, leżałem na łóżku spokojnie...

Po niejakim czasie, lis spostrzegłszy na stole fajkę, poskoczył, wziął ją w zęby, podbiegł do ognia i zapalił ją — niech zginę, jeśli mówię nieprawdę — usiadł znowu i zaczął palić... Ach! ty bezwstydny! — pomyślałem sobie — ach, ty rabusiu jakiś! Mojej fajki ci się zachciało? Twoje szczęście, że nie mam w ręku strzelby, powąchałbyś wtedy innego dymu. Ale poczekaj, niech tylko moje psy nadbiegną, odechce ci się wtedy palić.“ Czekałem więc jeszcze, aż dopiero, gdy lis, nie zwracając na mnie uwagi, zaczął wysypywać popiół z fajki, zeskoczyłem nagle z łóżka, podbiegłem do drzwi, i by przeciąć lisowi drogę, otwór w drzwiach zasłoniłem sobą.

— Mam cię teraz kochanku — rzekłem — nie wyjdziesz mi już ztąd żywym, i zacząłem gwizdać na psy.

Lis stał przez ten czas nieruchomy i z oczów widać mu było, iż myślał sobie: „Mój kochany leśniku, zdaje się tobie, żeś bardzo rozumny, ale ja nie byłbym chyba lisem, gdybym nie potrafił się uwolnić z twojej brudnej nory. Poczekaj, odejdziesz ty sam odedrzwi.“ Następnie podbiegł do łóżka, pod którem stały moje buty, wziął jeden z nich i rzucił na ogień. Poczem przysiadł na tylnych łapach, spojrzał na mnie z szyderstwem, jak gdyby chciał powiedzieć: „No cóż kochanku, nie odejdziesz?“

— Nie, — powiedziałem — a choć żal mi było buta, bo jakkolwiek był już trochę dziurawym, ale mógł mi jeszcze na czas jakiś służyć, nie ruszyłem się z miejsca; włożyłem tylko palce w gębę i z całej siły począłem gwizdać na psy...

— Tak? i to nie pomaga? — mówił do siebie lis — może teraz się ruszysz — i wziąwszy but drugi, rzucił go również w ogień.

Ach, ty zbrodniarzu jakiś! — zawołałem ze złością — więc chcesz, żebym boso chodził? Ale to nic, i tak miałem już niedługo kupić sobie na jarmarku nowe buty, a twoja skóra, warta więcej niż buty. A sprzedam ją, jak mi Bóg miły, tak jakbym już miał pieniądze w kieszeni, bo już mi ztąd nie wyjdziesz. I znowu włożywszy palec w gębę zacząłem przywoływać psy... Tymczasem ten łajdak — niechno pan sobie pomyśli — przysiada na tylnych łapach i patrząc mi bezwstydnie w oczy, wkłada przednie łapy w pysk, jakby mnie chciał przedrzeźniać. Niech mi język odpadnie, jeżeli kłamię... Naturalnie, pomimo iż byłem wściekły, widząc tego szelmę z palcami w pysku, musiałem się śmiać, w skutek czego nie mogłem dalej gwizdać, ale przysiągłbym, ze on umyślnie to zrobił, żeby mi przeszkodzić i zyskać na czasie.

Kiedym się nareszcie uspokoił i zacząłem znowu nawoływać psy, lis stanął na czterech łapach, popatrzył na mnie ponuro, jak gdyby myślał: „No, no, dłużej tu siedzieć byłoby dla mnie niebezpiecznie, z tym głupim leśnikiem, widzę, nie ma żartów, trzeba, by zrozumiał, że czas już mnie wypuścić. Jeżeli był takim osłem, że pozwolił sobie spalić buty i nie ruszył się ode drzwi, to znajdę na niego sposób lepszy.“

I jak pan myślisz, co zrobił? Oto, podbiegłszy do ognia, uchwycił palącą się głownię i kuc, kuc, kuc dalej do łóżka mego, by wetknąć ją w słomę. Spostrzegłszy to, krzyknąłem rozumie się na tego zbrodniarza podpalacza i rzuciłem się do łóżka. Ale szelma widocznie tego tylko pragnął, bo zaledwie zrobiłem parę kroków, rzucił głownię na podłogę i sam jednym susem wyskoczył przez otwór we drzwiach, skręcił się na miejscu, wstawił łeb w otwór i — niech mi te słowa uwięzną w gębie, jeżeli mówię nieprawdę — pokazał mi język, a ślepiami cisnął mi te wyrazy: „Żeby złapać jednego lisa, potrzeba na to najmniej dwóch takich cymbałów jak ty, kochanku!“ — i nie spiesząc się wcale, pobiegł do lasu...

— Naturalnie, iż go odtąd nie widziałem — dokończył leśnik — ale ja go jeszcze spotkam; dam mu za swoje...

Ktoby miał do wydzierżawienia prawo polowania w jednym z większych rewirów leśnych, najmniej 3—4000 morgów, w podgórskiej okolicy, obfitującej w dziki, a gdzieby i z niedźwiedziami można się było spotkać, zechce swe oferty nadesłać pod adresem:

St. Pielecki, plac Maryacki l. 9., Lwów.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie